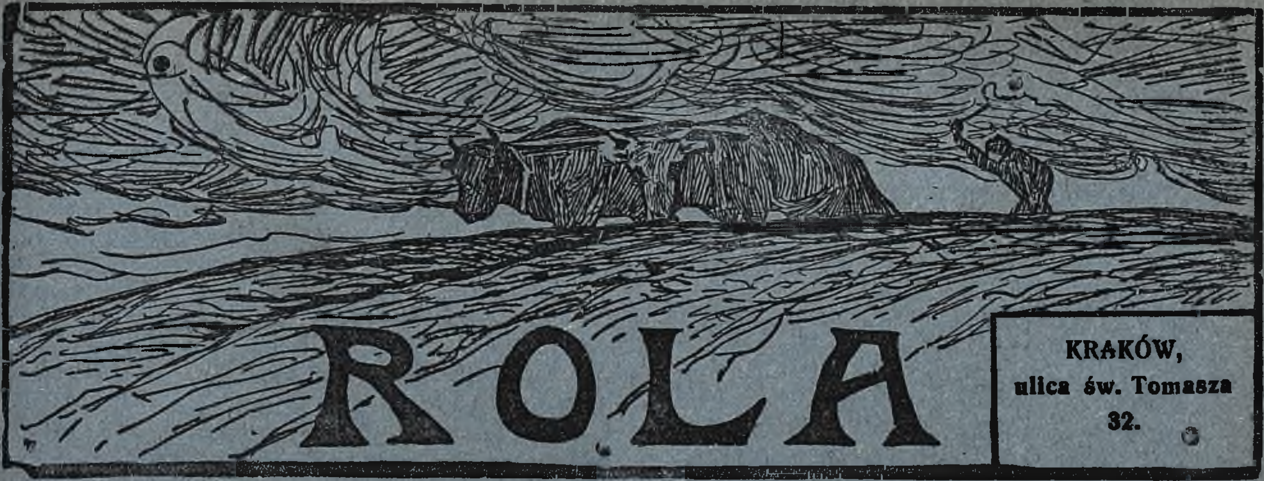
Numer 17. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 24 Kwietnia 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Także pociecha.

Starsza panienka (wzdychając): — Tak, tak, osiągnęłam już niestety ową nieszczęsną... trzydziestkę...

Kawaler: — Niech się pani nie smuci, i trzydziestka minie...

W sklepie.

— Proszę mi dać jedną łyżkę do jedzenia.

Gdy kupiec rozpoczął poszukiwania za pudełkiem z łyżkami, kupująca nagle rzecze:

— Przepraszam bardzo, niech pan nie szuka, ponieważ zgubiłam miarę na usta córki.

Poradzi sobie...

— Przepraszam bardzo, czy placki świąteczne pani się wydarzyły?

— Ta nie...

— Więc cóż pani z niemi będzie robić?

— A będą na zjedzenie.

Także powód.

— A czemuż się to kumo spieszycie tak po tę wodę?

— Dyć nie widzicie, że deszcz lada chwila pocznie padać, a skoro padnie to i woda namoknie i stanie się o połowę cięższą.

Odważny żydek

Żydek: — Panie policjant, ja zrobiał wielkie awanture!

Policjant: — To pójdziesz do kozy. A cóżeś ty zrobił?

Żydek: — Ja dostałem po piszku i uczekniłem.

Trzeba tylko chcieć.

— Jakże mogłeś rodzonemu bratu wybić trzy zęby?

— E, proszę pana sędziego, jak człowiek chce to wszystko potrafi.

Numer 17. Rok X. Kraków, dnia 24 Kwietnia 1927.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

O jedność w narodzie.

Jedną z największych wad narodu polskiego to brak zgody. Kto zna dzieje nasze dawne, ten wie, że niezgoda tak często stawiała nas w położenie niemal bez wyjścia, a że Polska nie upadła przez przeszło tysiąc lat, to cud to prawie Boski. Ale przecież ta niezgoda w narodzie była tak wielka, że sądzić należy, iż i Panu Bogu sprzykrzyło się wkońcu strzedz nas od upadku. Dostaliśmy się w ciężkie jarzmo niewoli, nie po to chyba, żeby w niej przebyć czas jakiś, ale po to, aby się w niej odzwyczaić od wad dawnych i po odzyskaniu wolności zabrać się do pracy nanowo, unikając wszystkiego co nas do upadku doprowadziło.

Z przeszłości przykład brać trzeba, uczyć się na nim i dążyć do poprawy. Teoretycznie to my to wszyscy przyznajemy, ale cóż się dzieje w praktyce? Weźmy za przykład nasze życie polityczne. Ileż mamy w tej naszej Ojczyźnie, znękanej tyloletnią niewolą, stronnictw politycznych. Zwykły śmiertelnik nawet wyliczyć ich nie potrafi. A stronnictwa te żrą się ze sobą i kłócą, często nie wiedząc same o co i poco. Zamiast pracować dla dobra społeczeństwa, tracą czas na kłótniach i walkach niepotrzebnych, nie przynoszących nikomu korzyści, ale owszem szkodę tylko. Czyż nielepiejby było, gdyby ci ludzie zwalczający się dziś nawzajem podali sobie ręce i zabrali się do wspólnej roboty.

Nawet najgłupszy chyba to zrozumie, że dwóch słuszności być nie może, ale tylko jedna. Gdyby więc przewódcy rozmaitych stronnictw zeszli się ze sobą i tak na zimno porozmawiali, kto ma słuszność, a kto nie i za tem wszyscy poszli, kto miałby za sobą słuszność, wówczas utworzyłoby się jedno wielkie ugrupowanie ludzi, które, wysunąwszy na swe czele najdzielniejszych, wielkich rzeczy dokonaćby mogło.

Pod sztandarem takiego ugrupowania wszystkich bez wyjątku zgromadzićby wprawdzie nie można, bo w życiu narodów wchodzą także w grę specjalne interesa klasowe. A więc inne zupełnie cele mają na przykład rolnicy, a inne robotnicy; inne bogaci kapitaliści, a inne szeroki ogół, zamieszkujący obszar naszej Ojczyzny. I tylko na tle tych interesów ekonomicznych mogłyby się wytworzyć dwa wielkie obozy, idące zresztą w rzeczach narodowych ręka w rękę. Że tak być może, mamy tego przykład na Anglji, w której jest tylko trzy stronnictwa, konserwatywne, liberalne i partja pracy. Konserwatyści reprezentują kapitał, partja pracy sfery robotnicze, a dla liberałów prawie niema już miejsca, to też coraz bardziej topnieć zaczynają. A u nas prawie co miesiąc powstaje jakieś nowe stronnictwo, nie posiadające często więcej członków ponad prezesa i sekretarza. A właśnie takie rozbicie na partje i partyjki prowadzi naród do zguby.

Niestety, mało u nas ludzi, którzyby potrafili pracować z zaparciem się samego siebie. Każdy niemal, który wybije się na czele, chciałby natychmiast zostać naczelnym wodzem, a nawet dyktatorem. Podporządkować się nie potrafi, a gdy go równi mu lub nawet lepsi słuchać nie chcą, łamie karność i... zakłada nowe stronnictwo! Wskutek tego stronnictwa mnożą się, jak grzyby po deszczu, wnosząc zamęt wśród społeczeństwa, a narodowi wyrządzają nieobliczalną szkodę.

Niestety, praca nad pogodzeniem ludzi idzie bardzo opornie, a to dlatego, że jesteśmy za mało uświadomieni, za mało wykształceni i przez to właśnie słuchamy raczej różnych wichrzycieli, aniżeli ludzi rozsądku. Cenimy więcej pusty krzyk, aniżeli realną pracę.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV. w.

8. Koronacja.

Na tydzień przed niedzielą, na którą koronacja oznaczona była, komornik królewski Sassin, przybiegł z listami do królowej, oznajmując o tem, iż Jagiełło wyruszył z Grodna i pospiesznie na Jedlnę, Iłżę, Łysą górę i Wiślicę do Krakowa podążał.

— A skądże cię król wyprawił? — zapytała Sonka.

— Z Iłży — zamruczał Sassin.

— Witolda nie było przy królu?

— W Grodnie pozostał.

— Nadciągnie więc rychło?

Sassin powtórzył swe zakłopotanie.

— Nie wiem.

Do czytania listu od króla, powołać musiano pisarza, a tymczasem biskup krakowski, który też listy od Jagiełły miał, na zamek przybył.

Poszła Sonka naprzeciw niego z poszanowaniem, bo go teraz wielce sobie pozyskać była rada, on też dosyć się jej okazywał przyjaznym.

— Król — rzekła — daje znać o sobie, ale spodziewałam się z nim razem przybycia wuja, a o tym mi Sassin nic powiedzieć nie umie.

Zbyszek rzucił okiem do koła i rzekł poważnie.

— Ja więcej może potrafię: książę Witold przybycia swego odmówił!

Usłyszawszy to królowa zarumieniła się, cofając kroków parę. Niebytność najbliższego z rodziny opiekuna, była niemal upokarzającą dla niej. Zdradzała przed obcymi to, co się działo na dworze i w rodzinie.

O podrażnieniu i niechęci wuja wiedziała Sonka dobrze, spodziewać się ich mogła i przyczyna nie była jej tajną, nie sądziła wszakże, aby gniew Witolda tak już zaszedł daleko, by się miał objawić przed światem.

Było to wypowiedzenie wojny.

Spojrzała na biskupa.

—Król daje mi wiedzieć, — ciągnął dalej Oleśnicki — że naprózno księcia prosił, błagał, zaklinał, — nie mógł go przezwyciężyć. Nie tai się z tem, że do miłości waszej żal ma największy, że przebaczyć jej nie może.

Królowej łzy zakręciły się w oczach.

— Ktoż do mnie żalu, gniewu i niechęci nie ma? — odparła gorąco. — Oprócz króla a męża mojego, nie mam przyjaciół, a wrogami wszyscy... Teraz do nich i wuj przystał.

— Gniew Witolda cześć wam czyni; — odezwał się Zbyszek — łaska jego i powolność złymby znakiem była. Przy pomocy Bożej pokonasz miłość wasza nieprzyjaciół... Niebytność księcia chorobą lub wojną da się wytłomaczyć, a będzie go kim zastąpić. Kraków już cały jakby jedna gospoda — tak wielu się gości zapowiada.

Koronacja się zbliżała, na zamku nie było jednej godziny spokoju... Przyjeżdżali książęta, Piastowie, posłowie, gońcy ze stron różnych, na Wawelu trwały olbrzymie do ugoszczenia przygotowania.

Królowa na przemiany radością i dumą przejęta, weseliła się, to strachem jakimś owiana, — płakała... Nie taiła tego przed sobą, że nieprzytomny Witold swą nieobecnością więcej ważył, niż wszyscy ci, których tu ciekawość prowadziła... Była to groźba, a wielki książę nigdy się nie odgrażał naprózno...

W piątek przed niedzielą na którą koronacja naznaczoną była, Jagiełło witał rzymskiego króla i żonę jego w Myślenicach, w sobotę obiadowano na górnej sali w żupach w Wieliczce, wieczorem na Lasocińskiej górze czekać miała królowa...

Była to chwila wśród tych dni uroczystych, może najwspanialszy obraz przedstawiająca; pod gołem niebem, które pogodą i powietrzem łagodnem sprzyjało, te ludu tysiące, te poczty rycerskie na koniach, kapami szytemi okrytych, stroje wspaniałe, przepych w rzędach i wozach, tłumy wesołe, trąby i flety, dzwony i okrzyki...

A na podwyższeniu, które wysłano kobiercami i suknem, w płaszczu spływającym do ziemi, szytym złotem i perłami, w złotej przepasce na głowie, stała Sonka tryumfująca, blada ze wzruszenia, szczęśliwa i trwożna...

Jasny dzień wstał nazajutrz, a choć zwykle w porze tej najsroższe u nas panują mrozy (Luty), powietrze było łagodne.

Podwórce zamkowe od rana lud zapełniał, bo kościół mało mógł objąć, i to tylko wybranych między najdostojniejszymi. Zrana przypomniano sobie sierotę.

Jadwiga i na samej koronacji być nie chciała, ani się spodziewała, ale ochmistrz królowej przyszedł z jej polecenia zaprowadzić sierotę do ganku nad zakrystją, z którego mogła wszystko oglądać.

Salka i parę służebnych dziewcząt ciekawych, którym chciało się bardzo widzieć uroczystość, tylu królów i książąt, biskupów i prałatów, rycerzy i młodzieży, niemal gwałtem ją pociągnęły za sobą.

Przepych dnia tego gasił poprzedzający... Zamkowy kościół cały tlał złotem, świecił klejnotami, i wśród obłoków kadzideł, jak jakieś nadziemskie zjawisko migał przed załzawionymi oczyma dziewczęcia.

Co miała Polska i sąsiednie kraje najdostojniejszego, zgromadziło się tu wszystko dokoła sędziwego Jagiełły.

On sam, pomimo wstrętu swego do stroju, na ten dzień wielki musiał przywdziać sobole i aksamity. Wesół zarazem i znużony się wydawał.

Królowa, choć blada od wzruszenia, zachwycała pięknością, a szła teraz tak mężna, jakby nie przeczuwała, że długie lata męczeństwa brała razem z tem namaszczeniem i koroną.

W sali, Laskowcem zwanej, zasiadali już do uczty, stół był cały złotym sprzętem zastawiony, a dokoła niego siedzieli królowie, królowe, książęta i przedniejsi duchowni.

Rycerstwo, senatorowie, dwór, towarzysze przybyłych panów, Węgrowie, Duńczycy, Włosi, Rusini, Polacy, pościskani obsiadali w sąsiedniej ogromnej izbie stoły mnogie. Dla najzacniejszych z nich marszałek Zbigniew z Brzezia oddzielił stół osobny, przy którym obok wojewody krakowskiego widać było uderzającą bohaterską postać jednego z ostatnich rycerzy chrześcijaństwa.

Był to Zawisza z Grabowa ,Czarnym zwany, Polak rodem, którego Zygmunt Luksemburczyk, równie jak brata jego Farureja, umiał sobie pozyskać. Zawisza duszą, męstwem i całym sobą przedstawiał obraz rycerstwa najdoskonalszego. Wspaniałej postaci, pięknej, męzkiej twarzy, spokojem i energją nacechowanej, pańskich i szlachetnych rysów, on i Farurej wśród skarlałego już pokolenia młodszego świecili jak dwa z bronzu odlane posągi.

Obok Zawiszy co było najprzedniejszego w Krakowie krążyło, jakby go wodzem swym z ducha i męztwa uznawało...

Od początku uczty przy książęcym i monarchów stole siedzący mąż lat średnich, nasępiony, milczący, zwracał uwagę tem, że mało go kto tu znał, a gdy się jedni drugich pytali o nazwisko, ledwie siędobadać można było, iż ruskim jakimś kniaziem go mianowano. Imię mu było Jerzy, a nazwy księstwa nikt nie podawał. Ruszano ramionami powiadając, że przyrodnim bratem Witoldowej Juljanny był. Mało on tu widać znaczył i posadzono go nizko, choć głowę wysoko zadzierał i dumnie z góry spozierał na drugich, a królowej szczególniej nie spuszczał z oka.

W sali, gdy do pląsów się sposobiono, zajął miejsce u ściany za pas rękę założywszy, z nikim nie przestając, sam, jakby tu nie miał nikogo. Biesiada go nie weseliła, choć pił dużo. Oczy jego to na podłogę były zwrócone, to szukały królowej, a nudziło mu się widocznie; nikt się nim nie zajmował, on też nie szukał nikogo. Zdawał się szukać zręczności, aby do Sonki się zbliżyć.

Ona i królowa rzymska rozpoczęła pląsy, od których tylko stary Jagiełło schronił się do kąta. Zygmunt Luksemburski zaraz potem śmiało wkroczył pomiędzy panny królowej i co najpiękniejsze wybierając, począł się im zuchwale naprzykrzać. Obyczaj wieku takiemu panu dozwalał wiele, a Zygmunt korzystał z tego.

Tymczasem małżonka jego Barbara, śmiała się, oczyma i rękami powołując ku sobie co najkrasiwszą młodzież. Wybierała do pląsów bez różnicy narodowości, który najpiękniej wyglądał nie szczędziła przymileń.

Wesoło być poczynało na sali, a pląsom towarzyszyły wybuchy śmiechu, które niekiedy piskliwą muzykę głuszyły.

Królowa Sonka, wprędce znużona, usiadła... Zaledwie to spostrzegł kniaź Jerzy, który na to zdawał się czatować, natychmiast pod ścianą się snując, przybliżył ku niej. Postrzegła go Sonka i ostro spojrzała. Tymczasem kniaź przez niewiasty się przedarłszy, do jej krzesła się przysunął.

— Nie było czasu nawet was pozdrowić — odezwał się po rusku... — Ja tu się błąkam cały dzień jak w lesie, mnie mało kto zna, a ja tak jak nikogo. Chciałem się wam pokłonić — dodał — i od siebie — tu zatrzymał się trochę — i od księcia Witolda.

Królowa obejrzała się zdziwiona i dumna.

— Nie raczył przybyć książę, nie spodziewałam się pozdrowienia — rzekła... — Zabolało mnie to, zabolało!

— Witolda też boli, że wasza miłość o nim tu zapomnieliście — mówił kniaź Jerzy. — Ja tu z tem od niego przybyłem, abym żal jego przywiózł i...

— I cóż? — dumnie spytała Sonka.

— Przebacz królowo moja, — śmiało dokończył Jerzy — no... i przestrogę.

— Groźbę powiedz raczej? — wtrąciła Sonka.

— Nazwijcie to, jak chcecie — zimno ciągnął dalej kniaź.— Co mi polecono, to wam niosę. Witold srodze na was rozżalony. Czego innego się po was spodziewał, z czem innem was na ten tron słał, należało mu się węcej... Pomnijcie wasza miłość, że ręka jego sięga daleko, a nikogo się on nie lęka.

— Więc i mnie nie powinien — przerwała obrażona Sonka. — Chciał odemnie, abym dla niego zdradziła męża, służyła mu, jak niewolnica!

Uśmiechnęła się.

— Mój kniaziu, siostrzenicą jego nazwaćbym się była godną, gdybym taką niewolę ścierpiała!! Jestem mu wdzięczną, ale słuchać go nie powinnam i nie mogę.

— I nie będziecie? — zapytał kniaź.

— Nie będę, nie! — gniewnie odezwała się królowa. — Co mnie spotka, z tem się rozprawię, ale Witoldową służebnicą królowa polska nie będzie nigdy.

Kniaź Jerzy, posłyszawszy ten wyrok, spuścił głowę.

—Podumajcie no, podumajcie — rzekł po chwili. — Ja was takiego dnia uroczystego nie chcę trapić, a radzę — podumajcie! Znacie Witolda. Siedzi daleko na Litwie, niema go tu, bezpieczni się czujecie od niego... a gdy zechce... tak was potrafi zrzucić, jak podniósł...

Sonka spojrzała pogardliwie na kniazia.

— Jego słowa powtarzam — dodał... Znajdzie drogę i do serca Jagiełły, aby wam je odebrać, i do tych, co wam tu służą, a wy wiecie najlepiej, że uparty i mściwy jest...

Roześmiała się młoda królowa.

— Mściwą ja nie jestem, jak on, ale upartą tak samo — rzekła. I jak jego, mężną mnie Bóg stworzył. Myślicie, że nie widzę niebezpieczeństwa i nie wiem, co mnie spotkać może? Wszystkiemu wierzę, ale wszystko przetrwam...

Pierś jej poruszać się zaczęła coraz mocniej i oczy pod brwiami zmarszczonemi zabłysły ogniem.

— Byłabym podłą, gdybym groźbom uledz miała. Witold mógłby mnie może powolniejszą uczynić, gdyby nie obrazil rozkazywaniem... Mnie oprócz pana mojego i małżonka nikt rozkazywać nie będzie.

Gwałtownie dokończywszy, królowa otarła twarz chusteczką i spojrzawszy dokoła, czy nikt się nie zbliża i nie słucha ciągnęła dalej.

— Powiedz mu to, powiedz wszystko, oskarż mnie! Wiem ja, dlaczego Witold wydał mnie za starego. Chciał mnie mieć miłośnicą swą i niewolnicą... Nie śmiał, dziewką gdym była, przystąpić, sądził, że zamężną mnie weźmie! Nieraz w Wilnie dawał mi poznać, dlaczego wydaje za Jagiełłę; milczałam, aby się z jego rąk uwolnić... Dziś powiedz mu to: nie złamie Sonki, może się mścić, ale mnie nie pozyska niczem. Jest dosyć młodych dziewek na Rusi...

To mówiąc królowa wstała, spojrzała na kniazia Jerzego, który stał z głową skurczoną, — i starając się twarz wypogodzić, podeszła ku królowej Barbarze.

Rozmowa była skończoną. Kniaź Jerzy znalazł się sam za pustym krzesłem i natychmiast z pośrodka kobiet, które go otaczały, cofać się począł...

Na twarzy królowej pomimo jej mocy nad sobą pozostał wyraz stłumionego gniewu. — Witold zatruł jej ten najpiękniejszy dzień w życiu.

Nazajutrz i dni następnych ciągnęły się uroczystości i zabawy, bo królewskie gody mniej tygodnia nie mogły trwać. Z rana w podwórcach odbywały się turnieje, po których Barbara i Sonka rozdawały nagrody. Siadano potem do stołów, a wieczorem pląsy się wznawiały.

Zawisza Czarny, Farurej, dwaj komturowie Krzyżaccy, Tarnowscy, Mielsztyńsy, Tęczyńscy i młodzież rycerska codzień się spotykali w pełnych zbrojach, krusząc kopie, dając dowody zręczności i siły.

Królowa rzymska, która była zawsze najpierwszą do rozdawania wieńców i miała zręczność zbliżać się do młodzieży, bawiła się wielce gonitwami... Sonka musiała choć z trwogą w duszy, jaką ją groźby Witolda napełniły, wesołą się okazywać. Jagiełło z gościn-

nością bezmiernie szczodrą, swoich dostojnych przyjaciół obsypywał darami.

Ostatniego dnia sypnęły się pożegnalne dary w koniach, misach, futrach i kosztownych tkaninach.

Król rzymski niecierpliwy śpieszyć musiał do domu do dalszej walki z Czechami, do obmyślenia obrony przeciw Turkom, do szukania pieniędzy, które w ręku jego topniały.

Po Spiżu, założonym Jagielle, gotów był nowy jaki ziemi kawał dać zastawą, byle dostać tych grzywien, któremi rozrzutnie szafował. Krzyżacy wahali się z pożyczką.

Najdłużej z obcych książąt pozostał w Krakowie bawarski Ludwik, a gdy przeprowadzony przez Jagiełłę za bramy miejskie, miał się już z nim rozstać, obrócił się ku niemu schylając głowę.

— Zaprawdę, — zawołał z uśmiechem — słyszałem o was i nasłuchałem się wiele, ale com oczyma widział własnemi, przeszło czegom oczekiwał...

Jagiełło wrócił spoczywać...

— Sonko — odezwał się stary, wdziewając swój kożuch z wielką radością, iż dawne życie miał rozpocząć. Sonko, rada jesteś?

— Królu mój, szczęśliwąś mnie uczynił, Bóg niech ci płaci; patrz tylko, aby mojego i twojego szczęścia Witold nie zamącił!

(Ciąg dalszy nastąpi.

Kościelec.

Słonka letniego paliła pożoga, a duszne, ciężkie powietrze unosiło się w polu.

Od wioski górskiej w dole prowadziła droga, wijąc się między malownicze wzgórza swą białą wstęgą. Na drodze widać najpierw punkt jakiś, który w miarę zbliżenia się go do mnie, mogłem rozeznać, że to idzie dziadek (żebrak) miejscowy. Z twarzy jego spływał pot kroplisty, a kijem sękatym podpierając się, ułatwiał sobie drogę.

Zaprosiłem go do siebie, posiliłem i jedzeniem i napojem; on potem usiadł w cieniu rozłożystej lipy i taką legendę mi opowiedział:

— Dawno już temu, bardzo dawno. Wtedy na tem miejscu nie było gór, ni tych lasów, co na wzgórzach szumią, lecz piękna równina się ścieliła, a na tej równinie rozsiadło się miasto ogromne, a w środku tego miasta wznosił się wielki kościół, z mnóstwem wyniosłych wież, dumnie w niebo strzelających. Kościół ten budowano wieki, to też był on chlubą mieszkańców tego wspaniałego miasta, albowiem z wież tych jedna była najwyższa, wznosząca się z środka kościoła, na której błyszczała wspaniała szczerozłota kopułą, z tej zaś wytryskał ogromny krzyż, wyciągający swe ramiona, jakby błogosławił całej okolicy.

Ziemia tutaj była dobra, żyzna i wydawała jaknajlepsze owoce i plony. Na polach latem widniały całe sterty zbóż, najrozmaitszego gatunku, a jesienią w sadach drzewa uginały się pod ciężarem dojrzewającego owocu. Na wiosnę zaś, gdy cała okolica okryła się morzem kwiecia i zieleni, a zapach kwiecia i woń świeżej runi unosił się w powietrzu, to aż miło było spojrzeć na dwór!

Ludność miasta i okolicy była dorodna, pracowita i bogobojna. Ale z czasem bogactwa tak zaślepiły umysł mieszkańców, że poczęli się jedni z drugimi z zazdrości kłócić.

Od słowa, do słowa, aż przyszło do bójek i mieszkańcy owego cudnego miasta rozdzielili się na dwoje, napadając jedni na drugich, mordując się wzajemnie, porywając jeden drugiemu żony i młode dziewczęta, z którymi prowadzili niemoralne życie. O Bogu, modlitwie i kościele ani pracy nikt już nie myślał.

Bogobojni kapłani napominali lud, ale bezskutecznie, bo złego już wyplenić nie mogli. Tedy biskup chwycił się ostatniego środka, to jest klątwy. Rzucił klątwę na zepsute miasto. Umilkły dzwony, nikt nabożeństwa nie odprawiał, drzwi kościoła zamknięto, a na tychże wywieszono treść klątwy.

A byli w mieście podburzyciele, którzy na złe społeczeństwo nawodzili. Ci namówili ciemną tłuszczę, by się zemścić na Bogu ducha winnych sługach Bożych.

I dużo było takich, że usłuchali głosu demonów poszli zbrojno pod kościół. Ale była też druga partja, która w obronie wiary i uczciwości poszła bronić od śmierci sług Bożych, a świątyni od zbeszczeszczenia. A że tych było mniej, więc wkrótce padli pod mieczem tłuszczy. Teraz wyłamano drzwi do kościoła, sługi Boże niewinnie zamęczono.

Teraz wyszedł przed ołtarz biskup i rzekł:

— Oto jestem, zabijcie mnie, jakoście innych umęczyli. Ale powiadam wam, że mord, gwałt i rozlew niewinnej krwi, sprowadzi dziś na was jeszcze karę Bożą. Oto w tem miejscu, gdzie kościół stoi, będzie stać góra wysoka, a wasze miasto w ziem się zapadnie wraz z wami — o bezbożni. A teraz ja o bracia przeklinam!

I zerwał się wicher okrutny, ziemia trząść się zaczęła, ogień dobywający się z ziemi pożerał wszystko. Grzmot i błyskawice towarzyszyły temu zjawisku.

Za chwilę znikł kościół, znikło miasto, a na ślicznej równinie utworzyły się trzy wyżłobienia a z nich płynęła woda i do dziś płynie — bo ta woda, to są łzy pokutujących duchów, a jeden kościół się nie zapadł tylko góry go otuliły, ziemia obsuła, i do dziś dnia tam tak stoi.

A że działo się to w wigilję Bożego Narodzenia, to też w północ od czasu do czasu głuchy głos dzwonów dobywa się z podziemi tej góry, co nawet wielu żyjących słyszało i góra ta otrzymała nazwę „Kościelec".

A choć tysiące lat miną, jak setki minęły, to duchy będą w podziemi, czekały w mękach Sądu Ostatecznego.

Wawrzyniec Miesiączek.

Z WIOSENNYM SZMEREM.

Z wiosennym szmerem młodych listeczków
Z wiosennym szumem wezbranej rzeki,
Z wiosenną wonią najrańszych kwiatów
Lećże mój smutku, hen, w kraj daleki.

Gdy wkoło życie rozkwitnie nowe,
Gdy młodych ptasząt śpiewa tak wiele,
Lećże mój smutku, hen, w kraj daleki,
Niechaj w mej duszy kwitnie wesele.

Aleksandra M.

POD STOCZKIEM.



Powyższy obrazek przedstawia chwilę, w której po bitwie pod Stoczkiem w dniu 17 lutego 1831 roku dowódca Krakusów na czele swego oddziału przeprowadza przed generałem Dwernickim zdobyte armaty.

My a Ojczyzna.

My, którzyśmy wolność niemal cudem odzyskali, nie umiemy jej cenić. O jakżeż często zdarza się słyszeć, że dawniej było inaczej, że dawniej było lepiej. Ani rusz nie chcemy zrozumieć, że ta nasza Polska ukochana powstała niemal z niczego, że wszystkiego dopiero dorabiać się musi i dopiero po jakimś czasie może w niej zapanować prawdziwy dobrobyt i szczęście dla wszystkich ludzi. A prędzej chwila ta nadejdzie, jeżeli zaprzestaniemy narzekań, a weźmiemy się do zgodnej i wytężającej pracy.

Czem jest wolność Ojczyzny, może pojąć zupełnie tylko ten, kto tę Ojczyznę wolną posiadał i kto ją później utracił. A takimi byli wszyscy ci, którzy żyli przed rozbiorami Polski, którzy patrzyli na jej rozbiory i którzy później znaleźli się w niewoli. Jak oni odczuwali utratę tej wolności, jak boleli nad losem swoim i swojej Ojczyzny, świadczą o tem te masy dzieł, w których krwawymi słowy niewolę swoją opisywali, świadczyły te pola bitew, które zraszały krwią swoją serdeczną i zaścielali swoimi kośćmi, świadczą wreszcie te lochy syberyjskie, w których latami konali za miłość ku Ojczyźnie. Kochali oni swą Ojczyznę, boleli nad jej utratą, a kochać można tylko to i żałować tego, co jest dobre i miłości godne.

A ból swój i żałość swoją czynem stwierdzali na polach bitew. Za wolność jej poszedł w bój Tadeusz Kościuszko i krwią swoją zrosił pola Maciejowic. Celem uzyskania tej wolności chwycili za broń w 1830 roku najlepsi synowie Ojczyzny, aby raczej zginąć, niż żyć dalej w niewoli. Więc ta wolność nie była chyba złudą i czemś niekorzystnem, kiedy za nią ludzie krew i życie oddawali.

Niestety, choć wysiłki naszych praojców były niemal nadludzkie, choć nie żałowali krwi i mienia, nie zdołali odzyskać tego, co ich ojcowie lekkomyślnie utracili. Pamiętne są te krwawe boje i przypominać ich nie trzeba. Któż bowiem nie pamięta, a względnie nie czytał o bohaterskich walkach generała Dwernickiego pod Stoczkiem, który szczupłymi siłami zatrzymał w dniu 17 lutego 1831 roku wielkie wojsko rosyjskie i nie dopuścił go do Warszawy. Czyż nie znana nam jest uporczywa obrona Olszynki, lub krwawe boje pod Wielkim Dębem, Wawrem i Iganiami, w których szabla polska okryła się wiekopomną sławą?

Sto lat niedługo upłynie od tych śmiertelnych zmagań się z wrogiem, ale lata upływają nie po to, abyśmy o czynach przodków naszych zapominali i na nowo gubili naszą Ojczyznę. Nie, mają one nam być nazawsze tem „Memento“, które przypominać nam winno, że wszystko co posiadamy, obowiązani jesteśmy składać na ołtarzu tej naszej Ojczyzny, jeżeli ona tego będzie potrzebować.

A czegoż dziś ta Ojczyzna od nas żąda? Nie wiele! Bo ani życia naszego, ani krwi naszej, ale tylko pracy wytężającej a zgodnej, miłości wzajemnej i ukochania tego wszystkiego, co swojskie, co nasze. A przy troskach życia codziennego żąda również, abyśmy o tej przeszłości naszej nie zapominali, ale z niej brali przykład, co czynić należy, a czego unikać, aby nasza Ojczyzna stawała się coraz potężniejsz



KAŚKA MYRDALONKA GADA:

Tyle sie cłecysko nacekało na te święta, tyle na uganiało, tyle nasprzątało i nici z tego wszyćkiego. Siedem niedziel świętego poscenia, siedem ocekiwania na jaką taką kiełbaske i poświęcane jajka, a cłek nawet bez całe dwa dni ni miał co jeść. Tak to pono i z zyciem ludzkiem. Cłek haruje i biedzi się bez całe zycie, a ino mu sie jaka taka gwiazdka scęśliwości na niebie zjawi, to Poniezus sprzątnie mu ją zaraz z przed nosa, nie przymierzając, jak gospodyni jedzenie ze stołu.

Jesce gospodarzowi abo gospodyni wszyćko idzie inacej, anizeli byle jakiemu chudziakowi. Wiem ja wiem, jak to było, ale nie powiem, boby mnie gosposia na amen spsiocyli. Przeciem widziała dobrze i dokumentnie spenetrowała co i jak było. W Wielgą Sobote sami gosposia wyładowali kos do imienia i sami go ponieśli na oświęt do kościoła. Jak wrócili i w kumorze sie rozbierali, tom wszyćko w kosyku przerachowała i przemierzyła. I wiem ze było ştyry łokcie kiełbasy, trzy razy tyle jajek, co maln paliców u obu rąk i u obu nóg, spyrki tyle na długość, co moja ręka od palców po łokieć, masła dwie osełecki, calusieńki bochenek pytlowanego chleba i chrzanu ştyry ogony. A w święta co? Ja dostałam dwa jajka, Maciek dwa jajka, oboje po piędzi kiełbasy i po kromecce placka taj i tyle, bo spyrka gdziesi wywietrzała, ze ani na lekarstwo sie jej dosukać nie było mozna, z cego gospodynie bez dwa dni brzusysko bolało. Jak sie Maciek po jedzeniu jesce oblizywał, to mu gosposia powiadali: Zjedz se ta Maciuś co niebądź, bo mnie tak jakosik od samy rezurekcyji głowa boli, ze sie mi nic robić nie chce. Maciek pozirał wtedy na chrzan i nawet go próbował ugryźć, ale powiadał, ze chrzan to nie to, co kiełbasa. A co to za święta, jak sie po nich cłekowi nie odbija ani go głowa nie boli!

Ale to nie dla wszyćkich taki pokurcony los. Gospodarze i gospodynie, a takze ich gospodarskie dzieci to sie tak przez święta poopychały, ze jaz o mało z tego powodu do niescęścia w Wielgą Niedziele nie przyszło. Sama rezurekcja rano jakosik ta minęła bez wiekszego wypadku, ale na sumie po kazaniu, jak ludziska zaceli sie wydzierać na cały głos: Zywot sie nam naprawił!... i jak wszyćka ta para sła do góry i na chór, to pon organista, choć to juz cłek od lat do takich rzecy przyzwycajony, omało na chórze ze wzrusenia nie zemdlał. Wprawdzie głowa sie mu kiwała okrutecnie, ale bądź co bądź ze stołka jakosik nie zleciał. Insa rzec, ze tak go to dokumentnie osłabiło, ze jak po sumie sed z kościoła, to cała droga była jego. Powiadali niektórzy złośliwi, ze to osłabienie organistowe zaceło sie jesce w sobote wiecór, jak z jegomością jeździli święcić po dworach i leśnicówkach, ale to wierutna bajka, bo przeciez jeździł nie sam, ale z jegomością, to jakze sie ufaflać przy poświącanej osobie?

W takie bajdy moznaby jesce uwierzyć, gdyby to ino samego organiste było trafiło, ale i jegomość śli z kościoła niebardzo pewnie, a i inksych ludzi widziałam, co sie im nogi okrutecnie rozlatywały. I tak to juz zawse było i bedzie, ze nie znaleść na świecie prawdziwej równości! Bo co mi to za równość, jak w takie świeta jednem zywot sie naprawią, a drugiem na glanc psuje. A i w tem jest jesce różnica, ze ci, co sie jem zawot naprawił, to to sie tem na cały pysk i to jesce w kościele chwalą, a ci drudzy chodzą se spokojniutko i kazdemu na wszyćkie strony, cy trza, cy nie trza, miejsca ustepują.

A pominąwsy i to, to znowu bez te świeta jedni robią na nich interesa, a drudzy skode ponoszą. I tak najwiecej cierpią z powodu świąt wszyćkie świnie. Pomyślcie sobie ino, ile to tych biednych zwierzątek padnie w casie wielgiego postu, aby sie mieli cem ludzie przez świeta opychać. I jakby ino świnie miały rozum, toby sie wszelkiemi siłami starały, aby świeta wielganocne raz na zawse zostały zniesione. Ale za to dla kur i aptekarzy, gdyby nie było świąt wielganocnych, toby była okrutecna bida. Przecie kuzdemu wiadomo, ze w miesopusty i z początkiem postu, to ta kurka za byle co jajko zniesie, a jak sie zbliza Wielganoc, to kura zaraz sie drozy i codzień o grosa chce wiecej za jajko. A aptekarz taksamo! Bez cały rok stoją mu olejki na półkach i ani sie pies z kulawą nogą o nie nie spyta, a jak nadejdą świeta, to sie prawie drzwi od japteki nie zamykają, tyle sie w nie ludzi pcha po rycyne. I miedzy kurą a japtekarzem jest tylko ta różnica, ze potem japtekarz za uciułane grose jedzie se na świze powietrze do jakiej Pipidówki, a kura i tego ucunić nie moze, bo ona ma zawse świze powietrze, a za uciułane przez nią pieniądze to co najwyzej gospodarz kupi se tutoniu lub gospodyni jakie koronki do majtasów.

Cnota.



Patrząc na fale ziemskiego życia,
Ciągłe widzimy przemiany —
Kaprysem losu człek od powicia,
Często do zgonu miotany.
W swej wiośnie życia marzysz tak mile...
Latasz skrzydłami anioła —
Wkrótce przeminą te błogie chwile,
Inna cię droga powoła.
Szukasz miłości, przyjaznej dłoni...
I znajdziesz — ale czy trwałą?
Czasem się podłość, zdrada odsłoni
I przyjaźń zerwie tę całą.
Gdy pragniesz szczęścia w złota mnogości,
Pocisk w twe serce ugodzi.
Spokój utracisz, przytem zazdrości,
Ach, i to prędko zawodzi!
Także zaszczytów, sławy rozgłosy,
I te ci przebrzmią zbyt rychło —
Jeśli zawodne nie zdradzą losy,
Nad grobem zwykle ucichło.
Zaledwie radość błyśnie ci w oku.
Już za nią smutek w pogoni —
Jak promyk gwiazdy czystej w obłoku
Chmura wnet czarna zasłoni.
Cóż tedy szczęście dać może trwałe,
Niezwiędły wieniec radości?
Co opromieni twe życie całe,
Choćby wśród wielu przykrości?
Ach! tylko cnota, sumienie czyste,
Które zachowasz w swem łonie —
Te dadzą spokój — szczęście wieczyste
Tu w życiu — i tam... po zgonie!

Franciszek Marzec.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

Dwaj jeźdźcy stanęli przed domkiem i zsiedli z koni; w tejże samej chwili rżenie innego rumaka ozwało się w pobliżu.

— To jego wierzchowiec, zastaliśmy go — szepnął don Ramon i obaj na palcach weszli do środka, lecz panowała tu taka ciemność, że nic dojrzeć nie mogli. Obaj usłyszeli wyraźnie głęboki oddech śpiącego. Czas jakiś stali, jak skamienieli, i bladość śmiertelna pokryła im twarze.

Blady płomyczek woskowej świeczki oświetlił niedużą izdebkę... W kącie, na posłaniu z mchu i liści, leżał Rafael. Po trudach i wzruszeniach dnia tego, chłopak znużony zapadł w sen tak głęboki, że ani szelest, ani światło go nie przebudziły.

Wzrok ojca zatrzymał się z nieopisanym wyrazem na pięknych rysach uśpionego młodzieńca, na silnej, kształtnej jego postaci. Otchłań boleści wyczytać było łatwo w oczach, napełnionych łzami, których nieszczęśliwy oderwać nie mógł od marnotrawnego syna.

Euzebio zbliżył się do śpiącego, pochylił się nad nim i dotykając lekko jego ramienia, zawołał łagodnie:

— Rafaelu, Rafaelu.

Chłopiec otworzył oczy, i spostrzegł ojca, stojącego nieco dalej.

— Co, to ty, ojcze! — wykrzyknął chłopak przerażony, gdy wzrok jego spotkał się z ponurem wejrzeniem don Ramona, i zerwał się szybko na nogi.

— Nie ojciec, lecz sędzia stoi przed tobą — odezwał się tamten przytłumionym głosem — nie masz już ojca, a ja nie mam syna.

Usta młodzieńca drgnęły nagle, jakgdyby pod wpływem gwałtownego bólu, lecz po chwili twarz jego znowu przybrała wyraz zaciętego uporu; stał nieruchomy i milczał.

— Padnij do nóg ojcu, błagaj go o przebaczenie — mówił półgłosem Euzebio.

— Nic z tego! — zawołał don Ramon, który to dosłyszał — nie mam nic wspólnego ze zbrodniarzem, który się zmazał krwią bliźniego. Przybyłem tu po to jedynie, aby spełnić nad nim wyrok... Rafaelu, nie możesz żyć w towarzystwie ludzi: stałeś się szkodliwym dla nich; odtąd musisz przebywać pośród dzikich zwierząt, bo do nich jesteś podobny.

Rafael stał nieporuszony; usta jego zacięte nie wydały głosu. Surowe słowa ojca nietylko nie zmiękczyły serca chłopaka, lecz przeciwnie utwierdziły go w uporze.

— Niema czasu do stracenia — mówił dalej don Ramon. — Euzebio, przyprowadź konie; mamy przed sobą daleką drogę. W głębiach puszczy, gdzie nigdy stopa ludzka nie postała, będzie mógł wściekłość swoją wywierać do woli na zwierzętach drapieżnych, — to najwłaściwsze dla niego towarzystwo.

— I owszem, i owszem! — zawołał Rafael, siląc się na wesołość — lubię walkę z dzikiemi zwierzętami.

Euzebio westchnął głęboko nad bezprzykładną lekkomyślnością chłopaka. Don Ramon naglił do pośpiechu; koń Rafaela, posłuszny jak pies, przybiegł na głos chłopca, któremu ojciec skinieniem kazał na niego wsiąść. Potem wyjął z kieszeni chustkę i rzekł zwracając się do starego sługi:

— Zawiąż mu oczy.

— I owszem, i owszem — odezwał się chłopak tym samym szyderskim tonem — chociaż to niepotrzebna komedja, bo ja i tak nie powróciłbym tą drogą. Dobrze mi będzie w puszczy, doskonale, rozkosznie!

— Cicho, cicho, szaleńcze — szeptał Euzebio do ucha chłopca, który pochylił się do niego i podsunął mu oczy do zawiązania.

— A teraz w drogę! — zawołał don Ramon, chwytając za uździenicę konia Rafaela i pomknął naprzód, wiodąc go przy sobie; Euzebio, wzdychając ciężko, jechał za nim i prowadził jucznego konia.

Nie będziemy tu opowiadali szczegółów dalszej podróży, która trwała dni pięć. Szóstego dnia około dziesiątej z rana don Ramon się zatrzymał i zsiadł z konia. Na jego znak Euzebio zsadził także i Rafaela i odwązawszy mu oczy, zaczął odpakowywać broń przeznaczoną dla chłopca. Wszystko to odbywało się w milczeniu.

— Chłopcze — odezwał się don Ramon głosem surowym, zwracając się do Rafaela — to miejsce oddalone jest o mil sześćdziesąt najmniej od domu, gdzie tak niegodnie zmarnowałeś młode swoje lata. Nie waż się nigdy powracać do ojczyzny, bo cię tam czeka śmierć i hańba. — Pozostaniesz tu sam jeden. Puszcza ta jest bezludna; czasem tylko, bardzo rzadko, w głąb jej zapędzi się odważny myśliwiec, lub przemknie przez nią gromadka dzikich Indjan. Pamiętaj, że odtąd nie masz ani ojca, ani siostry, ani krewnych, ani znajomych. Nie umiałeś się zastosować do obyczajów ludzi cywilizowanych, — żyjże tu w dzikiej puszczy. Nie chciałeś ulegać nikomu, — tu będziesz musiał uledz woli Bożej, bo On tylko jeden, Stwórca miłosierny, który czuwa nad każdem stworzeniem, mocen jest wspierać cię w tem osamotnieniu.

— Masz w tych torbach zapasy żywności na czas dłuższy; tu znów krzesiwo i hupkę do rozniecania ognia. Te rogi bawole pełne są prochu i kul; oszczędzaj tej amunicji, a starczy ci na długo. Oto jest strzelba wypróbowana. Ten, którego ojcem twym zwałeś, nie chybił z niej nigdy. Szanujże tę broń, ochraniaj życie... Rozpoczniesz je tu na nowo: oby było lepsze... Niech cię Bóg oświeci i opiekuje się tobą... On nie opuszcza tych, którzy Jego pomocy wzywają... Bywaj zdrów... na zawsze...

Wymówiwszy te słowa, don Ramon śpiesznie się odwrócił i wskoczył na konia. Panował nad sobą do ostatniej chwili; mówił spokojnie, choć w piersi nieszczęśliwego ojca wrzała straszna burza; na twarz wdział maskę surowości, choć serce się rozdzierało i krwawiło. Dopiero gdy konia spiął ostrogami i chyżo odjechał, łzy gorące strumieniem z óczu jego popłynęły, a pierś podniosła się gwałtownem łkaniem. Euzebio pochwycił Rafaela w objęcia, nie ukrywając łez rzewnych, a i chłopiec teraz zapłakał głośno. Rozdzierające to było pożegnanie.

— O Rafaelu — mówił stary sługa szlochając — serce moje przeczuwa, że jeszcze kiedyś powrócisz w progi rodzinne.

— Nie, nigdy! — wykrzyknął chłopak, ocierając łzy, i zwykły wyraz zaciętego uporu znowu zabłysnął w jego oczach. — Ojciec wyrzekł się mnie, skazał na wygnanie wśród dzikich zwierząt. Niechże tak będzie: nie zobaczy więcej syna.

A wtem gwizdanie odezwało się z oddalenia.

— Ojciec twój się niecierpliwi — rzekł Euzebio. — Bywaj zdrów, Rafaelu, niech cię Bóg strzeże; stary Euzebio i Karmela codziennie w modlitwach swoich polecać cię będą Jego opiece. A teraz weź to jeszcze na

pamiątkę odemnie i zachowaj na ciężkie chwile, gdy potrzebować będziesz pociechy w smutku, umocnienia, światła w opuszczeniu i samotności.

Wymawiając te słowa wśród tłumionego łkania, starzec podał chłopcu mały jakiś przedmiot, w papier owinięty. Raz jeszcze pochwycił go w objęcia, raz jeszcze złożył pocałunek na jego czole. Rafael, zalewając się także rzewnemi łzami, wyrwał się z jego uścisku i wołając:

— Bywaj zdrów, uściskaj siostrę odemnie — pomknął w las, jak szalony. Starzec przez chwilę spoglądał za nim wzrokiem załzawionym, wreszcie siadł na konia i śpiesznie odjechał.

15. Poselstwo.

Rok po roku upływał, aż nadeszła wiosna. Pewnego dnia w kwietniu, przed wieczorem, jeździec kurzem okryty zatrzymał się przed domem don Ramona. Od pierszego rzutu oka łatwo było poznać, że koń i jeździec długą i nużącą odbyli drogę. Jeździec ten miał na sobie zwykły ubiór myśliwski i stosowne uzbrojenie.

Jak wspomnieliśmy wyżej, stanął on przed domem pod wieczór, a że zastał bramę zamkniętą, uderzył w nią kilkakrotnie kolbą swojej strzelby. Szczekanie psów odpowiedziało na to niezbyt wykwintne oznajmienie odwiedzin. W parę chwil potem otworzyła się furtka, umieszczona obok bramy i ukazał się w niej biały, jak gołąb, staruszek. Twarz jego blada miała wyraz głębokiego smutku.

— Czego pan sobie życzysz? — zapytał drżącym od starości głosem.

— Czy sam don Ramon de Saavedra? — pytał dziwny gość, zsiadając powoli z konia.

— Nie — odrzekł krótko staruszek.

— Może Euzebio?

— Pan mnie znasz?

— Z imienia tylko.

— Jakże się pan nazywasz?

— Johnson. — Przybyłem tu w poselstwie. Ale poco te pytania? Otwieraj prędzej bramę, staruszku, i prowadź mię do twego pana.

— Odmawia w tej chwili modlitwy wieczorne, przerywać mu niewolno.

— Dobrze, poczekam.

— Jakże się miewa don Ramon de Saavedra? — zapytał po chwili przybysz, gdy weszli do mieszkania Euzebia.

Twarz starca stała się jeszcze smutniejsza.

— Niedobrze się miewa — odrzekł półgłosem.

— Ba! nic dziwnego, przy takiej zgryzocie.

— Czyżbyś pan miał wiedzieć?...

— Wiem wszystko.

— O Rafaelu?

— Tak.

— Co pan wiesz o nim? — wołał Euzebio, drżąc cały ze wzruszenia.

— Wiem tylko tyle, że młodzieniec ten musiał być zawsze w gruncie zacny i szlachetny, a jeśli zawinił przez lekkomyślność, wymierzona kara była zanadto surowa.

— Ach! i ja to don Ramonowi mówiłem.

— A jednak dopomagałeś mu, panie Euzebio.

— Jestem sługą, panie Johnsonie i musiałem być posłuszny. Lecz nie możesz pan sobie wyobrazić, jak cierpię strasznie od tej pory. Obraz tego nieszczęśliwego chłopca nie opuszcza mię ani we dnie, ani w nocy.

— A ojciec?

— Czy znałeś go pan dawniej?

— Nie widziałem go nigdy w życiu.

— Człowiek ten, nie stary jeszcze, w tym krótkim przeciągu czasu zmienił się do niepoznania; stał się starcem zgrzybiałym i szybkim krokiem posuwa się do grobu.

— Gdyby wiedział!... Ha! dowie się wkrótce .

— O, panie Johnsonie, pan musisz coś wiedzieć o późniejszych losach Rafaela! Mów pan, mów na miłość Boską!

— Powiem wszystko w swoim czasie. Wprzód jednak, panie Euzebio, musisz mi opowiedzieć ze szczegółami, jaknajdokładniej, w jakiem usposobieniu jest obecnie don Ramon de Saavedra dla tego syna, którego skazał na wygnanie w dzikiej puszczy, na życie pośród drapieżnych zwierząt.

— Ach! dręczy mnie pan okropnie. Lecz cóż mam robić, będę mówił. — Jestem przekonany, że biedny pan mój zaraz tegoż samego dnia, gdy spełnił ten czyn okrutny, już go w duszy żałował. Ileż razy nagle zatrzymywał konia wśród lasu i nadsłuchiwał, czy nie usłyszy głosu syna. Czasem zdawało mi się, że się zawróci, lecz on tem gwałtowniej bódł konia ostrogami i pędził dalej! Straszne bo było jego położenie, pomyśl pan tylko: gdyby sam nie był go ukrył przed sprawiedliwością, stałby się wspólnikiem jego hańby; gdyby go wydał w ręce sądowników, winowajca nie uniknąłby sromotnej śmierci na rusztowaniu.

— A jednak serce jego ojcowskie straszliwie na tem cierpiało. Gdyśmy powrócili do domu, z dniem każdym stawał się bledszy i smutniejszy. Trwało to przez kilka tygodni; sen odbiegł od jego powiek, rzadko kiedy się rozbierał; natomiast po całych nocach, jak widmo, błądził po pustych pokojach. Unikał towarzystwa ludzi, — nawet od własnej córki uciekał.

— A Karmela, siostra Rafaela? nic mi jeszcze o niej nie mówiłeś, panie Euzebio.

— Biedna Karmela! nieszczęśliwa dziewczyna! — mówił dalej Euzebio, łzę ocierając — co się wycierpiała, napłakała; bo serdecznie przywiązana do brata, pocieszyć się nieboga nie mogła, a ojciec nic jej nie chciał powiedzieć o jego losie. Długo pozostawała w niepewności. Później dopiero przypadkiem dowiedziała się o prawdzie.

— A więc wygnaniec nie był zapomniany, więc ojciec nie zdołał wyrwać z serca miłości dla niego! Bo też on na to z żadnego względu nie zasługiwał... Ale mów dalej, staruszku.

— Tymczasem obaj ci ludzie, którzy mieli być śmiertelnie ugodzeni przez Rafaela, żyli i w krótkim przeciągu czasu zupełnie do siebie przyszli. Teraz i w mieście wszyscy już zaczynali się inaczej zapatrywać na tę sprawę. Przyznawano, iż chłopiec działał w zapalczywości i uniesieniu, nie będąc panem siebie; zawinił wprawdzie, lecz nie zasługiwał na nazwę zbrodniarza. Możesz pan sobie wyobrazić, co się działo z nieszczęśliwym ojcem, jak straszny żal zbudził się w jego duszy; bowiem okazał się on sroższym sędzią dla własnego dziecka od ludzi obcych, ukarał go, jak złoczyńcę.

— I on, i Karmela, i ja, z jednakową boleścią opłakujemy ciągle Rafaela. Już utraciliśmy byli zupełnie nadzieję, aby jakakolwiek wieść o nim dojść mogła nas, aż oto pan powiadasz... mój Boże, gdybyż to była prawda!

— Nie myślę cię udręczać dłużej, panie Euzebio — rzekł przybysz, powstając i kładąc rękę na ramieniu starca. — Rafael żyje.

— Dzięki Ci Boże! — wykrzyknął Euzebio i wzniósłszy obie ręce do góry, począł szeptać cichą modlitwę. Potem z młodzieńczą żywością przyskoczył do

gościa, pochwycił go za oba ramiona, utkwił w nim wzrok badawczy i zawołał:

— Gdzież on jest?

— O tysiąc mil stąd.

— I pan go znasz, i przynosisz wieści od niego?

— Znam, i wieści przynoszę.

— Masz pan list od Rafaela?

— Nie, ustnie wypowiem wszystko.

— Mówże pan, mów prędzej.

— Będę mówił w obecności don Ramona.

— Biegnę do niego, choćbym mu miał przerwać modlitwy...

Euzebio wybiegł śpiesznie, bawił jednak z kwadrans przeszło, a gdy powrócił, oczy miał od łez zaczerwienione, choć wyraz twarzy świadczył dostatecznie, że to nie były łzy smutku.

— I cóż? — zapytał Johnson.

— Jakkolwiek starałem się mówić ostrożnie — rzekł staruszek — nagła ta i niespodziewana wiadomość tak gwałtowne wywarła na biednym panu wrażenie, iż omdlał na chwilę, a gdy przyszedł do siebie, był przez czas jakiś jakby nieprzytomny. Ale chodźże pan jaknajprędzej do niego.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Córka Piłata.

W on czas namiestnik Damaszku Klaudjusz Ryksus wielce był zasmucony. Piękną żonę jego Popeę, córkę Pontyjskiego Piłata, który władał Jerozolimą w imieniu rzymskiego cesarza; nawiedziła straszna choroba — paraliż.

Piękna Popea więdła zwolna, a jej przepiękne ciało straciło giętkość i ruchliwość i już tylko w lektyce, owinięta aksamitami i futrami, podziwiać mogła ogrody, które wieńcem otaczały miasto.

Dwa lata minęły, jak nawiedziło ją to straszne nieszczęście i nie było żadnej nadziei polepszenia stanu jej zdrowia. Nadarmo mąż jej sprowadzał z dalekich stron lekarzy, cudotwrców i uczonych, aby wyleczyli ją swoją sztuką. Ich wiedza, zabiegi i doświadczenia okazały się bezsilnemi wobec strasznej choroby, która przykuła piękną Rzymiankę do łoża boleści.

Wkońcu przybył jakiś pielgrzym z Jerozolimy i przyniósł wieść, że w ziemi Judejskiej żyje wielki czarodziej, Jezus Nazareńczyk. Czyni on cuda na chorych. Stawia na nogi paralityków wracając im zdrowie i utracone siły, niewidomym przywraca wzrok, a nawet wskrzesza umarłych.

Uciszyła się tą wieścią Popea i zawołała: Zwrócę się, zwrócę do tego czarodzieja! Szczodrze zapłacę mu drogiemi kamieniami, oddam mu swój cenny naszyjnik z zielonych djamentów, który wart jest więcej aniżeli pięć miast judejskich, aby mnie tylko uzdrowił.

Ale pielgrzym rzekł: — Przepiękna Popeo! Tem wszystkiem nie zjednasz sobie Nazareńczyka. On sam bowiem chodzi obdarty i bosy, przestaje tylko z biednymi i pogardza wszelką majętnością tego świata, więc chociażbyś mu zaniosła wszystkie swoje bogactwa, nie zjednasz go sobie niemi.

— Cóż więc mam robić, aby mnie uzdrowił? — zapytała zatrwożona chora.

— Od chorych, którzy przychodzą do niego po zdrowie, żąda on tylko jednego: aby w niego wierzyli.

Zdziwiła się Popea, a potarłszy czoło białą ręką, na której błyszczały drogocenne klejnoty, zapytała znowu:

— Aby w niego wierzyli? A jak wierzyli?

— Wierzyli, że jest Synem Bożym.

— Synem Bożym? Tego ja nie rozumiem.

I długo jeszcze rozpytywała się pielgrzyma o dziwnego cudotwórcę. Wiele dni i nocy rozmyślała o nim Popea. Patrząc się zaś na pokurczone członki w rozkwicie młodości, zalewała się łzami, jak dziecko. W duszy jej zaś coraz wyraźniej, coraz jaśniej występował obraz tajemniczego, nieznanego czarodzieja, który kazał uznawać się za Syna Bożego, a który czynić może cuda przechodzące słabe siły ludzkie; równocześnie zaś rosła w sercu jej chęć powrotu do zdrowia, do sił młodości, a także niecierpliwość zetknięcia się z tym dziwnym człowiekiem, gotowa nawet uwierzyć w jego bóstwo. „Jeśli on duchem i mocą swoją stoi tak wysoko ponad ludźmi, musi więc być bliskim bóstwa; bogowie bowiem tylko są tak wszechmocni, aby jednem spojrzeniem, jedną myślą módz uzdrawiać ludzi beznadziejnie chorych. Nasi bogowie nie chcieli mi pomódz, więc niech poznam siłę tego boga, którego synem nazywa się Nazareńczyk". I wiara rosła w jej duszy.

Popea zdecydowała się jechać do Jerozolimy, gdzie, jak sądziła najlepiej będzie można zobaczyć Jezusa. Jednakże przekonana, że mąż jej nigdy nie zezwoli na to, aby ona, dumna i sławnego rodu Rzymianka, zniżyła się do prośby przed zwykłym znachorem żydowskim, oznajmiła Klaudjuszowi, że chce odwiedzić swego ojca. Ta zachcianka, której urzeczywistnienie połączone było z udręczeniem i męką dla kobiety tak chorej, jak Popea, zdziwiła Klaudjusza.

Ale jej prośby i nalegania były tak wzruszające, że nie mógł on odmówić swej ukochanej, a tak chorej żonie, przeto umieściwszy ją w bogatym powozie, wyścielonym miękkiemi materjałami, wyprawił ją z pocztem najwierniejszych sług do ziemi Judejskiej.

I po trzydniowej podróży, drogą, która wiła się po wschodnich zboczach gór Libanu, pokrytych wysokopiennemi cedrami, przybyła Popea do ziemi Judejskiej. A czwartego dnia, minąwszy dolinę Józefa stanęła w Jerozolimie. A było to przed samą paschą żydowską.

Przybywszy do północnej bramy miasta, zobaczyła tłum wychodzących ludzi i oddziały rzymskiej konnicy. Cała ta tłuszcza spieszyła na zachód do pobliskiego nagiego zbocza.

Popea przyglądała się temu pochodowi, nie rozumiejąc celu.

Przed samą bramą miasta spostrzegła setnika na koniu, który dążył z żołnierzami za tłumem. Rozkazała mu zatrzymać się i zapytała, dokąd dążą te tłumy ludzi?

— Tam na tem zboczu będzie ukrzyżowany, zasądzony na śmierć, wróg społecznego porządku Jezus Nazareńczyk — odpowiedział setnik, kłaniając się możnej córce Piłata.

— To być nie może — zawołała zatrwożona Popea. Niechaj wstrzymają wykonanie wyroku. Żądam tego!

Ale setnik oznajmił jej, że tylko Piłat może zmienić swój rozkaz, jednakże zanim możnaby uzyskać to odwołanie, złoczyńca będzie już ukrzyżowany. I dziwił się, że Popea okazuje żal i współczucie nikczemnemu wichrzycielowi, którego śmierci żądał sam naród żydowski.

I Popea w rozpaczy zwróciła oczy na Golgotę, gdzie przygotowywało się coś strasznego.

— Zanieście mnie tam natychmiast! On nie powinien umrzeć — wołała do swoich ludzi.

Pachołkowie podeszli prędko z lektyką, bo powóz nie mógł dojechać do wierzchołka kamiennego zbocza górskiego. Kiedy stanęli na szczycie, Popea z przestrachem zobaczyła trzy krzyże, wbite w ziemię, a na każdym z nich wisiał ukrzyżowany człowiek.

Spełniło się.

Na rozkaz Popei rozegnano tłuszczę, która otaczała krzyże, krzyczała i naśmiewała się z ukrzyżowanych. Lektykę Popei postawiono w pobliżu. Pod środkowym krzyżem klęczała skulona niewiasta żydowska, a obok niej dwie inne zalewały się łzami, łamały ręce z bólu i wpatrywały się w męczennika. Z jego ran na rękach i nogach spływały potoki krwi.

Popea, milcząc, nieruchomo, z bólem wpatrywała się w męczeńskie oblicze Chrystusa. Z Jego łagodnych warg przebijały się straszne męki ukrzyżowania. Z obliczem oblanem łzami razem z innemi niewiastami patrzyła na Ukrzyżowanego: Biedna Popea starała się uchwycić Jego spojrzenie, które mimo strasznych cielesnych cierpień, po przez mgłę niewypowiedzianego bólu świeciło zorzą miłości i łagodności. Ale oczy Chrystusa, utkwione w płaczącą matkę, ani razu nie zwróciły się w stronę Popei.

— Zbaw mnie! — szepnęła ona, nie spuszczając wzroku z twarzy Chrystusa. Wtem łagodne wejrzenie Ukrzyżowanego przeniosło się na Popeę i przez chwilkę spoczęło na niej łagodnie, boleśnie głęboko. I naraz pod siłą tego spojrzenia, które przeszywało jak iskra Boża całą jej istotę, poczuła Popea jakąś głęboką, wewnętrzną przemianę i coś nowego, dobrego, słodkiego napełniło jej duszę i ciało.

Piłat, powiadomiony, że chora córka przyjeżdża, oczekiwał jej na najwyższym stopniu marmurowych schodów swojego pałacu. Dziwił się i trwożył niemało, bo nie wiedział, dlaczego się ona wybrała w podróż.

A gdy zobaczył, jak nadjeżdżała w powozie rozżalona, otworzył ramiona, aby ją przygarnąć do swego serca, skoro ją wniosą na górę.

I oniemiał z podziwu Piłat, kiedy zobaczył, jak Popea wyszła sama z powozu, oddaliwszy rozkazującym ruchem ręki służbę, która niosła jej złocistą lektykę.

I sama stąpała po marmurowych schodach krokiem lekkim jak gazela gór Libanu.

A objąwszy osłupiałego z podziwu ojca, zawołała z płaczem:

— Ojcze! Tyś zabił dziś Boga! *Józef Serafin.*



Poradnik gospodarczy.

Drzewa i krzewy owocowe możemy rozmnażać przez siew, sadzonkowanie, odkładanie, dzielenie krzaków i przez uszlachetnianie, czli przeszczepianie. Ważną jest rzeczą wiedzieć, który z podanych sposobów jest odpowiedni do danego rodzaju i jak go zastosować. Siejemy śliwy (węgierki), niektóre wiśnie i orzechy. Inne drzewa rozmnażamy wprawdzie tylko przez siew, ale, aby tylko otrzymać dziczki (podkładki), które przez odpowiednie szczepienie uszlachetniamy. Chcąc wypielęgnować odpowiednie dziczki, zasiewamy najlepiej nasiona, pochodzące z drzew nieszlachetnych, dzikich.

Gdy chcemy otrzymać nowe odmiany grusz, jabłoni, czereśni, postępujemy w ten sposób, że z otrzymanych przez skrzyżowanie odmian szlachetnych siejemy ziarna. Często nasionka, posiane w jesieni zostają przez zimę zniszczone przez myszy. Dlatego najlepiej zsypywać nasiona do naczynia glinianego, przesypując warstwy lekko wilgotnym piaskiem. Gdy naczynie napełnimy, przykrywamy deską podziurawioną i przechowujemy przez zimę w piwnicy, pamiętając, by piasek był zawsze lekko wilgotny. W kwietniu wybieramy nasionka, zaopatrzone już w korzonki. Tym przycinamy końce paznokciem i sadzimy w dobrej ziemi na grządce w odległości 15 cm. jedno od drugiego, odległość zaś rzędów powinna wynosić 20 cm.

Po zejściu oczyszczamy grządki z chwastów, podlewamy i spulchniamy ziemię.

Roślinki natomiast otrzymane z nasion, wsianych w jesieni, gdy już dostaną dwa pierwsze listki, wyjmujemy z ziemi, ucinamy koniec korzonka i przesadzamy na nową grządkę w odległości, jak poprzednio. Te same roślinki w jesieni należy, co najsilniejsze, przebrać i wsadzić na nową grządkę co 40 cm. jedną od drugiej i co 60 cm. rząd od rzędu. Tak przesadzone zostają aż do uszlachetnienia.

Grzędy tak sadzone dziczkami, nazywamy szkółką siewek.

Drugi sposób rozmnażania drzew i krzewów owocowych jest sadzonkowanie. Stosujemy je głównie przy rozmnażaniu porzeczek, agrestu i winorośli. Na sadzonki wybieramy dobre dojrzałe gałązki jednoroczne, które w jesieni odcinamy i przechowujemy przez zimę zadołowane w piasku w zacisznem miejscu. Na wiosnę tniemy z nich gałązki 15 cm. i sadzimy ukośnie, tak, aby tylko jedno oczko wystawało nad powierzchnię ziemi. Tak posadzone gałązki doskonale się zakorzenią.

W jesieni wybieramy sadzonki i sadzimy na przeznaczonych miejscach. Po zasadzeniu przycinamy, aby się dobrze rozkrzewiły.

Trzecim sposobem romnażania jest robienie odkładów. Robimy je w jesieni lub na wiosnę z winorośli, porzeczek lub agrestu. W tym celu gałązki jednoroczne przechyla się do ziemi, przypina widełkami i nakrywa ziemią.

Lepszym sposobem jest obsypanie całego krzaka ziemią, przez co zmusza się gałązki do wypuszczenia korzonków. W jesieni wybrać, przesadzić na stałe miejsce i odpowiednio przyciąć. Gdy chcemy otrzymać za jednym zachodem większą ilość szczepków, musimy od krzaka matecznego odgiąć większą ilość gałązek w różne strony do odpowiednich rowków, przysypujemy ziemią, tak, aby koniec gałązki wystawał 10 cm. nad powierzchnią ziemi. Z oczek gałązek przysypanych wyrastają pędy i zakorzeniają się znakomicie. Na drugą wiosnę tniemy odkład na tyle części, ile jest gałązek zakorzenionych i rozsadzamy.

Dzielenie krzaków stosujemy przy rozmnażaniu malin, porzeczek, orzechów laskowych. W tym celu wykopujemy cały krzak i rozdzielamy go zapomocą noża na dowolną ilość części jednak najwięcej na tyle, ile jest gałązek, zaopatrzonych w korzenie.

Rozmnażanie drzew i krewów, podobnymi sposobami udaje się znakomicie, gdy się wypełnia dokładnie odnośne wskazówki. Po nieudanej próbie nie trzeba się zrażać, ale zastanowić się i wyszukać przyczynę, niepowodzenia.

Roślina do swego życia potrzebuje niezbędnych pokarmów, które pobiera przez korzenie i liście. Korzeniami wciąga pokarm płynny, a liśćmi w stanie lotnym przez otworki, umieszczone na spodniej stronie blaszki. Jeżeli chcemy, by rośliny szybko rosły i dobrze owocowały, należy im pokarmu dostarczać przez odpowiednie nawożenie ziemi.

Najlepszą glebą do uprawy drzew i krzewów jest gliniasto-piaszczysta z domieszką próchnicy i wapna o podglebiu przepuszczalnym. Tam, gdzie gleba jest inna, można również sadzić drzewka, ale taką glebę należy stopniowo poprawiać przez dodawanie brakujących składników.

Jan Matysik.

Polowanie na kota w sypialni.

Humoreska.

Dwóch urzędników sądowych miało szczególniejszy wstręt do kotów. Jeden nazywał się Remski i był sędzią powiatowym, drugi zwał się Bilski i był adjunktem sądowym. Poniżej opowiemy, jak oni obaj zrobili raz polowanie na kota. Obydwaj ci sędziowie mieli raz komisję w małej wiosce. Był to gorący dzień, w naturze i w sądzie. Spożyto kolację i obydwaj sędziowie poszli spać zmęczeni. Pokój sypialny był wielki i szeroki, łóżko Remskiego stało przy jednej ścianie, Bilskiego przy drugiej dalej. Niedługo trwało, a obydwaj zasnęli głęboko. Naraz odzywa się ton, długi i przeciągły, jakby z drugiego świata, przenikając pokój...

— Mie... e... au... au...

Remski i Bilski zerwali się prędko, jak króliki. Włosy stanęły im na głowie i skóra ścierpnęła. Znowu rozległo się:

— Iiiau... Iiiau... au...!

— To jakaś kocia bestja! — mówił Remski wzburzony.

— Koty precz! — krzyczy Bilski z łóżka.

Ale kot udaje, jakby go to nic nie obchodziło i miauczy dalej i to tak z całego serca, długo i z uczuciem.

— Boże ratuj — mówi Remski, — ja tego nie wytrzymam. Gdzie jest ten kot?

— On musi być z twojej strony, — odpowiada Bilski.

— Nie, to z twojej strony, — mówi Remski.

— Iiieau... griau... au... au... wrzeszczy kot.

— Mówiłem przecież, że to z twej strony, — krzyczą obydwaj naraz.

Było ciemno jak w rogu i kot miał spokój. Wiedział o tem, to też teraz wrzeszczał i miauczał do woli, trzymając się przytem ostrożnie środka pokoju, równie daleko od obydwóch łóżek. Wtedy przyszło na myśl obydwom panom, użyć podstępu wojennego przeciw niemu, ale jeden nie powiedział nic drugiemu, tylko obaj robili swoje przygotowania po ciemku. Obawiali się, żeby kot nie przestraszył się ich głosu i nie uciekł.

A... nie do uwierzenia jest to, a przecież prawdą jest. Obydwaj mieli jednaki plan wojenny. Plan ten zaś był taki, kot miauczy widocznie za drugim kotem. Pomyślał więc sobie każdy z tych panów, że będzie naśladował drugiego kota, a gdy pierwszy kot zbliży się, tedy go obije. Wstali więc obydwaj po cichu z łóżka. Remski schwycił za ściągacza od butów, a Bilski porwał za swój but nieprzemakalny — i obaj ruszyli do ataku. Każdy z nich myślał, że drugi leży w łóżku. Na czworakach czołgali się oni naprzód na środek pokoju. Stąd mieli uderzyć. Remski schwycił za swój ściągacz butów, wyciągnął głowę i zamiauczał. „Mrau... iau... au...“ tak dobrze, że kot nawet mógł być zwiedziony. Bilski, który ze swoim butem był zaledwie sześć kroków oddalony, słyszał to miauczenie i myśli sobie: — Acha, kot jest blisko: — Czekaj, bestjo, teraz ci dam! I sam także zamiauczał, aby kota zwabić bliżej. Udało się mu doskonale, bo Remski się zbliżył i zaczął delikatnie: — Au... au... au... — A Bilski odpowiedział łudząco: — Miau... miau... au...! Obydwaj posunęli się bliżej do siebie. Byli już oddaleni od siebie może zaledwie o długość ramienia, gdy każdy pomyślał sobie: Teraz kot dostanie! I każdy z nich uderzył — jeden ściągaczem, a drugi butem. Właśnie, gdy Remski był w środku swego tryumfalnego — Miau... au — i rzuca ściągaczem na kota, przestaje nagle z bolesnem okrzykiem, bo but Bilskiego padł mu obcasem na twarz. Ale w tejże chwili potwierdził głos Bilskiego, że ściągacz butów Remskiego nie zmylił swego celu i trzasnął go koło ucha w twarz z boku głowy.

Gdy zaświecono, kot zniknął, Bilski i Remski usiedli prędko do łóżka. Tak odbyli polowanie na kota, i potem spali spokojnie do rana.

Jan Muskała.

Dziaduś.

Wąską ścieżyną przez pola i gaje,
Idzie dziaduś stary i co krok przystaje,
Ciąży mu woreczek na plecach związany,
Przez dobrych ludzi za jałmużnę dany.

Idzie dziaduś przez wieś, do domów wstępuje
I skromne datki od ludzi przyjmuje,
Wszędzie chwali Boga, życzy zdrowia, szczęścia...
Chłopcom ładnej żony, a pannom zamęźcia.

Za małą kromeczkę razowego chleba,
Wysyła ludzisków prościutko do nieba,
I z mąk wyswobadza czyśćcowe duszyczki,
Które tak nie były czyste, jak różyczki.

Idzie dziaduś przez wieś, psy za nim szczekają,
O bo mało teraz ludzie dziadkom dają,
Zanim biedny starzec kęs chleba dostanie,
Najczęściej usłyszy niemiłe gadanie.

Oj, nie pogardzajcie biedną dziadowiną,
Bo sami nie wiecie jak dni wasze miną,
Czy dni wasze przejdą zwyczajną koleją?
Czy się nie zawcześnie wasze oczy śmieją?

Walek Kowalczyk.

Wiadomości polityczne.

O przedłużenie kadencji sejmu. Dzienniki warszawskie donoszą, iż pewne sfery rządowe są zdania, że obecnego Sejmu nie należy rozwiązywać. Sfery te twierdzą, iż po nadzwyczajnej sesji, która rozpocznie się w maju, obecny Sejm nie zostanie rozwiązany, lecz zwołany w listopadzie na zwyczajną sesję budżetową. Wobec tego, że Sejm wówczas rozpocznie prace nad budżetem na r. 1928/9, trwanie jego do kwietnia 1928 r. będzie usprawiedliwione nawet wobec Konstytucji.

Zamiar przedłużenia istnienia obecnego Sejmu w kołach politycznych wywarł nadzwyczaj silne wrażenie, gdyż świadczy między innemi o tem, że rząd pragnie odwlec wybory do lata przyszłego roku.

Można się spodziewać, że po okresie świątecznym, gdy zjadą się posłowie do Warszawy, sprawa przedłużenia istnienia obecnego Sejmu będzie przedmiotem obrad klubowych.

O pruskie twierdze. Rada ambasadorów uchwaliła, na co się zresztą Niemcy zgodzili, że twierdze pruskie w Królewcu, Kistrzyniu i Głogowie, znajdujące się w pobliżu granicy, zostaną zniesione. Aby się przekonać, czy ta uchwała została wykonana, wysłały mocarstwa swych przedstawicieli do Niemiec. Niemcy jednak nie dopuścili ich do przeprowadzenia kontroli. Wobec tego ci zaprotestowali u konferencji ambasadorów z powodu odmówienia im przez niemieckie władze wojskowe prawa kontrolowania na miejscu prac nad burzeniem stanowisk betonowych w Królewcu Kistrzyniu i Głogowie. Ministertwo Reichswehry stanęło mianowicie na stanowisku, że rola attaches międzysojuszniczych, którym układ paryski z 31 stycznia b. r. powierza kontrolę prac nad zniesieniem wymienionych w układzie tym fortyfikacyj, ograniczona być musi tylko do przyjęcia do wiadomości raportu, wypracowanego po zakończeniu pracy przez któregoś z oficerów niemieckich. To stanowisko ministerstwa Reichswehry zmusiło także ambasady państw sojuszniczych w Berlinie do założenia protestu w urzędzie spraw zagranicznych. Prasa niemiecka, pisząc o tym „wielkanocnym konflikcie między Berlinem a Paryżem", domaga się nieustępliwości rządu, motywując to tem, że międzysojusznicza kontrola wojskowa została już zniesiona i wszelkie próby jej wskrzeszenia (?) powinny spotkać się z energicznym sprzeciwem rządu. Jest to jeszcze jeden dowód więcej, że Niemcy co innego mówią, a co innego robią.

Włochy a Jugosławja. Rząd jugosłowiański otrzymał od rządu włoskiego oficjalne zawiadomienie, że Włochy uważają traktat, zawarty w Tiranie za wewnętrzną sprawę albańsko-włoską, która nie dotyczy żadną miarą interesów Jugosławji. Z tego powodu sprawa tego traktatu nie może być postawiona na porządku dziennym bezpośrednich rokowań jugosłowiańsko-włokich. Rząd włoski ogłosił w dziennikach rzymskich komunikat utrzymany w tym duchu. Jugosławja uważa ten krok Włoch za obraźliwy dla niej. Jugosławji nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się o ochronę do Ligi Narodów. Jest możliwe, że tego rodzaju prośba Jugosławji o interwencję wysłana będzie już w najbliższych dniach do Rady Ligi Narodów, Aby zrozumieć, o co tu chodzi, trzeba pamiętać, że Włochy i Jugosławja walczą ze sobą o wpływy w Albanji. Nota więc Włoch jest jednem z pociągnięć w tej sprawie.

KRONIKA.

Zaćmienie słońca. W dniu 29 kwietnia nastąpi całkowite zaćmienie słońca. Pas zaćmienia widoczny będzie całkowicie w Anglji, Norwegji północnej i Szwecji, a w Polsce tylko częściowo. Dziewięć dziesiątych tarczy słonecznej będzie zakryte. Dla obserwowania zaćmienia wszystkie niemal państwa wysyłają do Szwecji ekspedycje naukowe. W Polsce organizuje taką ekspedycję Towarzystwo astronomiczne w Warszawie.

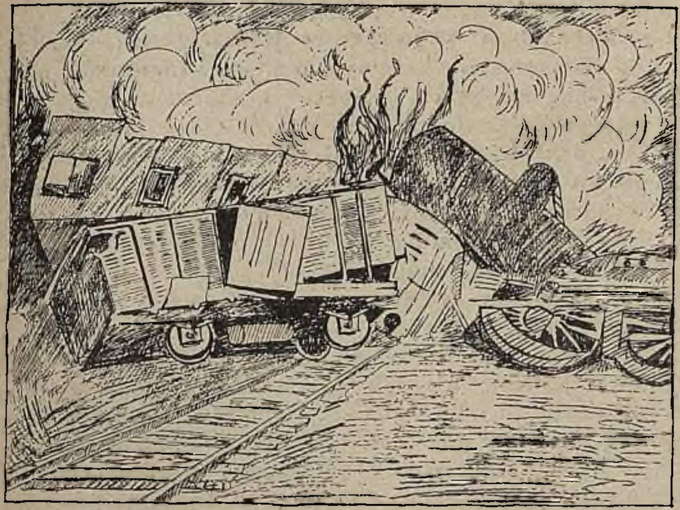
Straszna śmierć robotnika. Z Przemyśla donoszą: Ulica św. Jana w Przemyślu była widownią wstrząsającego wypadku. Mianowicie jeden z tamtejszych obywateli dyr Malec, chcąc się pozbyć starej, stojącej na podwórzu rudery, oddał ją jednemu z przedsiębiorców do rozebrania. Pracą tą zajęło się trzech robotników. Po zupełnem już niemal usunięciu chałupy pozostała jeszcze jedna ściana, do której się z kolei zabrano. Podważono ją silnie kilofami, następnie zaczęto obalać. Nikt nie zauważył, że w promieniu jej przypuszczalnego spadku 21-letni ułomny robotnik Jan Krzywonos składa cegły. Dopiero kiedy nadgniła ściana runęła, ozwał się krótki straszny krzyk, po którym poznano, że Krzywonos dostał się pod ciężar walących się belek i cegieł. Pospieszono mu z natychmiastową pomocą. Po pięciu minutach rumowisko usunięto. Z pod cegieł wystawała zimna, sina, silnie zaciśnięta dłoń. Po chwili wydobyto go zupełnie. Krzywonos już nie żył. Jak skonstatowała później sekcja, uległ on złamaniu kręgosłupa, oraz pęknięciu czaszki, to też zgon był natychmiastowy. Policja pociągnęła nieuważnego przedsiębiorcę do odpowiedzialności.

Żywe pochodnie. Onegdaj zdarzył się w Warszawie niezwykle tragiczny wypadek. Oto majster stolarski p. Stanisław Bogucki zajęty był przyrządzaniem farby terpentynowej. Obecny w pokoju praktykant starł farbę szmatą, którą następnie chciał rzucić do pieca. Zaledwie otworzył drzwiczki z paleniska buchnął płomień. Zwilżona terpentyną szmata zamieniła się w fajerwerk. Ogień przeniósł się na marynarkę chłopca, następnie na przepojone lakierami ubranie majstra. Mieszkańcy domu usłyszeli rozdzierające krzyki. Po chwili na podwórze wybiegły dwie płonące postacie. Bogucki wpadł do sieni, w kilku susach znalazł się na pierwszem piętrze i runął przed drzwiami kantoru. Gdy zwabieni krzykami pracownicy zdołali uporać się z ogniem, majster był już nieprzytomny. Wezwany lekarz pogotowia stwierdził poparzenie całego ciała. Sanitarjusze przenieśli nieszczęśliwego do kantoru i położyli na stole. Ostrożnie oderwano resztki tkaniny od pokrytej pęcherzami skóry i zastosowano okłady z mieszaniny wody wapiennej z olejem lnianym. Lżej poparzony chłopiec również otrzymał pomoc lekarską na miejscu. Niestety zabrakło środków opatrunkowych, wobec czego zaszła konieczność wezwania drugiej karetki pogotowia ratunkowego. Ponieważ nie mogło być mowy o pokryciu wszystkich ran bandażami rozebranego do naga majstra, zawinięto w prześcieradło zmoczone wodą wapienną. Ułożono go na noszach, nakryto derką i przeniesiono do karetki. Druga karetka zabrała chłopca. Obaj zostali umieszczeni w szpitalu. Stan Boguckiego jest beznadziejny.

Czeski bandyta. Cała policja Czechosłowacji poszukuje obecnie groźnego bandyty, który ukrywa się w małej wiosce koło Berna. Zbrodniarz ten, nazwiskiem Lesian, po dokonaniu całego szeregu morderstw, zdołał już zabić sześciu policjantów, którzy go chcieli aresztować. Szóstą zbrodnię popełnił onegdaj. Pewien inspektor, który spotkał Lesiana dał rozkaz aresztowania go. W od-

powiedzi Lesian wyjął rewolwer i położył inspektora trupem. Ścigany przez większą ilość policjantów, uzbrojonych w rewolwery, Lesian bronił się zaciekle przy pomocy rewolweru, a potem wymknął się

Pożar dwóch pociągów. Pod Ploesti w Rumunji zderzyły się dwa pociągi towarowe, z których jeden wiózł 36 cystern benzyny. Z powodu zderzenia nastąpiła eksplozja i wkrótce obydwa pociągi stanęły w płomieniach.



Dwaj funkcjonarjusze kolejowi zginęli, 7 zostało rannych. Szkoda materjalna wynosi 30 miljonów lei.

Pierwsze mieszane małżeństwo w Turcji. Dzień 10 marca pozostanie ważną datą w dziejach obyczajowości całego świata Islamu. Dnia tego poraz pierwszy wyszły urzędowe zapowiedzi małżeństwa mahometanki z chrześcijaninem. Stare prawo „szeriat", obowiązujące wśród wyznawców Islamu, zakazywało pod grozą kary śmierci zawierania małżeństw z innowiercami". Nowa ustawa cywilna, uchwalona przed rokiem w Turcji, zniosła ten zakaz. Dotychczas jednak nikt nie skorzystał ze swobód, zapewnionych tą nową ustawą. Pierwszą Turczynką, która na ten krok się zdobyła, jest pani Sichre Hanum, córka zmarłego senatora Ali Risa Bey'a. Narzeczonym jest Włoch, właściciel garażu automobilowego. Emilo Marinelli. Narzeczona jest siostrą pierwszego prezesa parlamentu tureckiego Achmeda Risa Beya, który po rewolucji z roku 1908 odegrał pewną rolę w Turcji i siostrą pierwszej tureckiej feministki, Selmy Rissa Hanum. Nie jest ona młodą dziewczyną, idącą za pierwszym porywem serca. Jej pierwszy mąż, Selah Bey, jest już wcale w latach posuniętym jegomościem, a z obecnym swym włoskim narzeczonym utrzymuje ona od dłuższego czasu stosunki więcej jak przyjacielskie. Mimo to krok, na jaki się obecnie zdobyła, stanowi istny przewrót w obyczajowości ludów Wschodu. Kiedy przed rokiem turecki minister sprawiedliwości, Mahmud Essar Bey, wprowadził zmodernizowanie ustawy małżeńskiej, starzy znawcy kraju niedowierzająco potrząsali głowami, mówiąc: nie uwierzymy w reformy do dnia, w którym mahometanin bez przejścia na islam, poślubi rodowitą Turczynkę. Dotychczas bowiem, ilekroć niemahometanin pragnął poślubić Turczynkę, przechodził na wiarę Mahometa. Także zdarzały się wypadki, że Turczynki zagranicą zawierały małżeństwa poświęcając miłości religję i ojczyznę. Ale odbywało się to stale na nietureckim gruncie. Wypadek zaś, by w samej Turcji mahometanka poślubiła za zgodą władz chrześcijanina — zdarza się obecnie poraz pierwszy.

Miasto o nadmiarze mieszkań. Może to wydawać się nieprawdopodobnem, aby w dzisiejszych czasach „głodu mieszkaniowego", odczuwanego niemal w całej Europie bardzo dotkliwie, istniało w tej Europie wielkie miasto, posiadające za dużo mieszkań. A jednak takie nieprawdopodobne miasto istnieje, a jest niem stolica Szwajcarji, Berno. Dokonane przez zarząd tego miasta dochodzenie wykazało, że w Bernie znajduje się obecnie 410 mieszkań, nie mogących doczekać się lokatorów, a przyczyną tego zjawiska jest budowa nowych mieszkań w ciągu lat ubiegłych, choć budowano niemal wyłącznie mieszkania małe. Tak naprzykład w 1926 r. było na 632 mieszkania nowe 303 — trzypokojowych. Toteż dzisiaj ceny mieszkań spadły w Bernie o 100 do 300 franków szwajcarskich rocznie.

Spalenie żony w piecu. W pewnym wielkim zakładzie drukarskim w Nancy, we Francji, zatrudniony był jako mechanik przy wielkich piecach niejaki Vermande. Mieszkał on przy tym zakładzie z żoną, która przed niedawnym czasem przepadła bez wieści. Vermande mówił krewnym swej żony i znajomym, że żona uciekła od niego ze swym kochankiem. W tem zniknięciu jednak ludzie odrazu dopatrzeli się czegoś tajemniczego. Słyszano, że Vermande często się z żoną kłócił i że właśnie od tej ostatniej większej awantury małżeńskiej, t. j. od 5 marca, nikt już nie widział pani Vermande. W parę dni potem Vermande podziękował za posadę, oświadczając, że wyjeżdża do Indochin budować sobie na nowo życie.

Istotnie wyjechał on z Nancy, ale tylko do Paryża, w towarzystwie mężatki Windeck, wydalonej z domu przez męża. Zamieszkawszy w Paryżu w hotelu, Vermande słał stamtąd listy z prośbą o pieniądze zarówno do swego brata, jak i do zakładu, w którym ostatnio pracował, adresu jednak swego nie podawał, lecz kierował przesyłki na poste-restante. Tymczasem podejrzenia, obciążające go w związku ze zniknięciem jego małżonki, zaczęły przybierać coraz wyraźniejsze kształty. Przedewszystkiem siostrom jego żony wydało się dziwnem, że opuściła dom mężowski, pozostawiając swoje biżuterje i futra. Prawie nagły wyjazd zbrodniarza także rzucał na niego gruby cień podejrzeń. Pojawiły się także konkretne już ślady zbrodni. Oto w 25 dni po zniknięciu pani Vermande, t. j. 30-go marca, pomocnik palacza we wspomnianym zakładzie drukarskim, p. Monet, zajął się czyszczeniem wielkiego pieca, który tylko w wielkie mrozy zazwyczaj był czynny. Monet natrafił przy czyszczeniu pieca na szczątki kości, jak mu się zdawało, ludzkich, a ponadto znalazła się tam w popiele sprzączka od podwiązki, oraz szpilki, agrafki i t. p. O ten odkryciu zakomunikował Monet administratorowi zakładu, a ten doniósł o powyższem policji. Rozpoczęło się śledztwo, przyczem Monet zeznał, że w cztery dni po zniknięciu pani Vermande małżonek jej palił w wielkim piecu przez cztery dni i cztery noce, tak, iż zużył 2.000 klg. węgla. Moneta bardzo to zdziwiło, bo wielki piec od szeregu tygodni nie był już czynny i nie zachodziła wcale potrzeba rozpalania w nim ognia. Jednem słowem, wszystko co czynił Vermande począwszy od 5 marca, wydało się w toku śledztwa podejrzanem, a wykrycie w piecu szczątków ludzkich — dało prawie pewność, że Vermande spalił żonę w piecu.

Vermande został w Paryżu aresztowany w chwili, gdy zgłosił się na pocztę po odbiór pieniędzy. Zaprzeczył początkowo zarzucanej mu zbrodni, ale wkońcu przyznał się, że po kłótni z żoną, w czasie której miała mu ona przyznać, że go zdradza, chwycił ją za gardło i udusił, a następnie, celem zatarcia śladów zbrodni, popełnionej w podnieceniu, zwłoki jej spalił. Vermande zapewnia, że matka jego, ani przyjaciółka nazwiskiem Windeck, nic o zbrodni nie wiedziały. Z zeznań tej

ostatniej okazuje się, że Vermande sam zawiadomił jej męża, iż jest zdradzany przez żonę. Dowiedziawszy się o tem mąż, wybił ją, a następnie wydalił z domu, wobec czego nie pozostało jej nic innego, jak tylko żyć nadal z Vermandem. Śledztwo w tej sprawie toczy się w dalszym ciągu.

Odnalezione miasta na Syberji. Prasa sowiecka podaje. ze podczas spisu ludności odnaleziono dwa nowe miasta, niedaleko Błagowieszczeńska, o których nikt do tej pory nie wiedział. Jedno z nich nazywa się „Soncepiok", a drugie zupełnie nie ma nazwy. Włościanie nie chcieli do tych miasteczek zaprowadzić urzędników, ponieważ ludność ich składa się ze staro-obrzędowców-fanatyków religijnych, którzy zerwali stosunki ze światem. Mieszkańcy tych miast żyją z polowania.

Podarunki morza. Po każdej burzy morskiej morze zaczyna wyrzucać na brzeg różne przedmioty. Są to resztki z potrzaskanych przez wicher i bałwany wodne łodzi i okrętów. Ludność nadbrzeżna wyławia te przedmioty i chowa, nazywając podarunkami morza. Niejeden pobożniejszy pomyśli, że podczas burzy bliźni jego utracił może życie i zmówi „Wieczny odpoczynek".



Po jakiej katastrofie okrętowej, gdy na dno pójdzie wielki statek, morze wyrzuca bardzo hojnie podarunki. Morze miota na brzeg nieraz przez cały tydzień bale, sprzęty, paki z towarami i żywnością. Nierzadko wypływa i trup ludzki. Rybacy z łodzi i z lądu wydobywają zwłoki i odnoszą na cmentarze, a przedmioty przyciągają osękami i przyjmują jako dary morza. Tak to w życiu bywa! Co dla jednych nieszczęściem, to dla drugich dobrem.

Dżuma na okręcie. Najstraszniejszymi chorobami są trąd i dżuma. Rozszerzają one się nadzwyczaj szybko a działają zabójczo. Jak donoszą dzienniki, na statku pocztowym, kursującym między Indjami a Południową Ameryką wybuchła dżuma. W drodze zmarło trzech podróżnych, a dwie osoby załogi zachorowały wśród podejrzanych objawów. Kapitan okrętu powiadomił telegrafem bez drutu najbliższy port o zarazie i zażądał przysłania leków. Jakoż w kilka godzin potem zjawił się hydroplan i opuścił na wodę beczułkę, w której znajdowały się środki lecznicze. Równocześnie nadszedł rozkaz od władz portowych, wzbraniający okrętowi przybijania do lądu. Zadżumiony okręt krąży więc po oceanie, a straszliwa zaraza szerzy śmierć wśród podróżnych i załogi. Zmarłych na tę straszną chorobę spalają w piecach okrętowych, aby nie zarażać wody zarazkami dżumy.

Latający bicykl. Z Nowego Jorku donoszą o wynalezieniu przez jednego z techników amerykańskich latającego bicykla. Maszyna ta posiada, oprócz kół dwie śmigi, które mogą być puszczone w ruch zapomocą pedałów, umieszczony zaś nad nią niewielki balon, unosi ją w powietrze. Wynalazca twierdzi, że przy bezwietrznej pogodzie osiągnął na swym latającym bicyklu szybkość 50 kilometrów na godzinę, na wysokości 40 stóp od ziemi i zapowiada, że niebawem wystąpi ze swym wynalazkiem publicznie.

Najdzielniejszy na świecie pułkownik. W Clarendon w Ameryce żyje pułkownik Karol Goodnight, zwany pospolicie „ojcem Teksasu". Niedawno pułkownik ożenił się z 26-letnią panną. On sam liczy 91 lat.

Przestępca wzbogacony w więzieniu. Amerykański maszynista kolejowy, William Langfils, prowadząc pociąg towarowy, najechał przez nieuwagę z boku na pociąg pospieszny, a wskutek tego starcia pięciu podróżnych straciło życie. Sąd skazał maszynistę za zabójstwo pięciu ludzi przez lekkomyślność na dziesięć lat więzienia. Osadzony w więzieniu Langfils, sprawował się tak przykładnie, że wkrótce mianowano go palaczem przy więziennej maszynie parowej. Ciepły ten zakątek gmachów więziennych obrało sobie za miejsce stałego pobytu kilka kotów, a więzień, mający przy swem zajęciu dużo chwil wolnych, nietylko zaprzyjaźnił się z kotami, ale nawet nauczył swych przyjaciół czworonożnych sztuczek zadziwiających. Okazało się, że Langfils posiada prawdziwy talent tresowania zwierząt, minął się więc ze swem powołaniem i dopiero więzienie ujawniło w nim ten dar ukryty. Od tej chwili z całą gorliwością oddał się tresurze kotów, a jeżeli który z jego pupilów zdychał lub przepadał, to były maszynista starał się o zastępcę, co zresztą nie było trudne, wobec więziennego przychowku kotów. Ułaskawiony po kilku latach, Longfils, opuszczał mury więzienne z dwunastu świetnie wytresowanemi kotami, mając w ręku zawód daleko korzystniejszy, niż zawód maszynisty kolejowego. W trzy tygodnie po opuszczeniu więzienia, zaangażowany był ze swą trupą kocią do teatrzyku rozmaitości w St. Louis, gdzie zarabiał miesięcznie więcej, niż poprzednio rocznie na kolei. Wszędzie, gdzie tylko występowały koty Langfilsa, niepospolita ich tresura ściągała tłumy widzów. Toteż po sześciu latach, gdy były maszynista wycofał się do życia prywatnego, objechawszy że swemi kotami całą kulę ziemską, posiadał już znaczny majątek, zapewniający mu dostatnie utrzymanie na resztę życia.

Samobójstwo ojca miljonera z nędzy. Niezwykły dramat rodzinny rozegrał się w eleganckiej dzielnicy Nowego Jorku. Przed pałacem znanego powszechnie miljonera S. A. Allana popełnił samobójstwo 72-letni starzec, odziany w łachmany. Jak się okazało, samobójca był ojcem miljonera, który wzbogacił się na handlu alkoholem i niedawno kupił wspaniały pałac, pełen dzieł sztuki i wykwintnych mebli. Miljoner nie chciał słyszeć o swym ojcu, który był ulicznym przekupniem i prowadził wraz z swą żoną, matką bogacza, żywot biedaka. Służba wyrodnego syna otrzymała rozkaz od swego pana niewpuszczania nędzarza do pałacu. Staremu ojcu nie wiodło się w ostatnich czasach, zapadł na zdrowiu i cierpiał z żoną głód. Całą zimę mieszkali staruszkowie w nieopalanem mieszkaniu. Zmuszony ostatecznością, zapukał ojciec do pałacu syna, a gdy spotkał się z brutalnością służby — otruł się przed pałacem syna. Tłum uliczny, dowiedziawszy się, kim jest nędzarz-samobójca, począł szturmować do pałacu, aby zlinczować miljonera. Silny oddział policji obronił bogacza od doraźnej egzekucji.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Węgliński Andrzej z Bielin na kiełbasę i „dramki" dla Maciusia 1.20, Skwierz St. z Pstrąg. woli 25 gr. dla Maćka.

RZECZY CIEKAWE.

Sprytni znachorzy.

Moda dzisiejsza nakazuje surowo kobietom szczupłość, a ponieważ niema nakazów przestrzeganych ściślej niż nakazy mody, więc płeć piękna gotowa jest na wszelkie tortury, byle pozbyć się kształtów stanowiących niegdyś ideał Rubensa.

Korzystają z tego spekulanci, wyrabiający rozmaite specyfiki pseudo-apteczne, i wypuszczają w świat masę środków odtłuszczających. Ameryka kroczy jak zwykle na czele i tego humbuku, a ponieważ niektóre z tych środków okazały się szkodliwe dla zdrowia, więc rząd w porozumieniu z Izbą lekarską wziął się do bliższego badania specyfików, wytaczając producentom sprawy nietylko w wypadku szkodliwego działania, lecz również wtedy, gdy analiza wykaże, że dany środek nie może mieć wogóle żadnego wpływu; w takim wypadku wytacza się proces o oszustwo.

Okazuje się jednak, że i ci nowocześni znachorzy są dość sprytni na to, żeby odpowiedzialności uniknąć. Analiza wielu reklamowanych specyfików przeciwko otyłości stwierdziła ich zupełną niewinność: zawierały z substancji działających na organizm, co najwyżej nieco środka przeczyszczającego. Natomiast do środków tych dodawane były przepisy, nakazujące odbywać długie spacery, bo inaczej środek może zaszkodzić. Fabrykanci tłumaczą się, że pigułki, czy krople są tylko pretekstem do tego, żeby zmusić pacjentów do pewnej djety i do ćwiczeń fizycznych, co im z pewnością na otyłość pomoże. W ten sposób z oszustów stają się tylko praktycznymi psychologami, co oczywiście nie może być karane.

Nieco o drapaczach chmur.

Największy z dotychczasowych nowojorskich drapaczy chmur liczy 54 pięter. Wkrótce gmach ten stanie się karłem wobec tego, który ma być zbudowany w najbliższej przyszłości, a który obejmować będzie 110 pięter. Zmieści się w nim swobodnie 30.000 mrówek ludzkich. Do użytku lokatorów oddanych będzie 60 wind; niektóre z nich niby pociągi ekspresowe w mgnieniu oka przedostawać się będą z parteru na piętro.

Jeden jednakże problem już dziś niepokoi opinję publiczną. Drapacze chmur są właściwie nie tyle budynkami, ile miastami fruwającemi w przestworzach i w pewnych godzinach koncentrują na ulicach tak olbrzymi napływ pieszych, powozów i samochodów, że uniemożliwiają niemal ruch uliczny. Problem ten może być tylko w jeden sposób rozwiązany. Do owych domów powietrznych należy dostosować również powietrzne dostępy. Trzebaby więc urządzić szerokie platformy na wysokości pewnych pięter, z których niby z hangarów samoloty prywatne, lub omnibusowe mogłyby wzbijać się w górę.

A zatem znajdziemy się może w przededniu chwili, w której śmiała przewidująca fantazja pisarska znajdzie naukowe i praktyczne zastosowanie. Coraz bliżsi jesteśmy urzeczywistnienia awanturniczych pomysłów Juljusza Verne, czy Wellsa.

Szczególnie ten ostatni pisarz okazał się wielkim prorokiem. Wystarczy przeczytać choćby jedną z jego powieści p. t.: „Gdy śpiący się budzi". W utworze tym, pełen nieokiełzanej fantazji pisarz przewiduje nietylko 110-piętrowe budowle, których perspektywa oczarowuje dziś mieszkańców Ameryki, lecz przepowiada gmachy tak kolosalne, iż będą one mogły pomieścić trzy miljony lokatorów. Skomplikowana maszynerja wind unicestwia w nich zupełnie przestrzeń i rzucać będzie ludźmi niby pociskami. Na najwyższych terasach tego domu, miasta, widnieją olbrzymie platformy z aluminjum i żelaza, w których spoczywają i z których wzlatują w górę ogromne aeroplany.

Z książki tej, która z domyślną wyobraźnią łączy zdobycze nowożytnej wiedzy wyłania się obraz zbiorowego, zmechanizowanego szczęścia, jakie przyszłość gotuje naszym wnukom.

Czy jednak wnuki te będą istotnie szczęśliwsze od nas?...

Polowanie na hipopotamy.

W rzece Nilu, w Afryce żyją hipopotamy, czyli konie rzeczne. Są to zwierzęta niezgrabne, o korpusie długości czterech metrów, wagi 30 dorosłych mężczyzn, o krótkich, niekształtnych nogach, skórze grubej na dwa centymetry, głowie prawie że czworokątnej, przebywają głównie w wodzie. Nurkują zręcznie, mogąc bez oddychania pozostawać pod wodą trzy do czterech minut.



Klisza wypożyczona z Sodalicji Klawerjańskiej.

Mieszkańcy tamtejsi bardzo chętnie polują na te zwierzęta. Myśliwi, zaopatrzywszy się w harpuny t. j. haki z korkiem na linie u osady i oszczepy, płyną łodzią na falach rzeki, póki nie spotkają ofiary swej wyprawy. Wówczas jeden z myśliwych rzuca zręcznym ruchem harpun w ciało zwierzęcia. Trafiony boleśnie zwierz zanurza się z błyskawiczną szybkością w głębię rzeki, uciekając spodem, co sił starczy. Posuwający się jednak za nim na powierzchni korek zdradza kierunek. Ponieważ konie nilowe są pływakami doskonałymi, niezwykle szybkimi i zwinnymi, puszczają więc myśliwi czemprędzej w pościg za zbiegiem zabrane umyślnie w tym celu łodzie. Raniony koń wyłania się raz po raz dla nabrania powietrza, za każdym razem jednak spada na niego deszcz włóczni, zadając mu niezliczone razy. Olbrzym krwawi coraz to bardziej i słabnie widocznie. Chwytają więc myśliwi za korek, śpieszą do brzegu i ciągnąc z całych sił za linę, wydostają zdobycz na ląd. Zdarza się nieraz, że rozwścieczony ukłuciami oszczepów hipopotam chwyta ścigającą go łódź w zęby i miażdży, albo też podpływa pod nią, wyrzucając ją gwałtownym ruchem w powietrze. Już niejeden śmiałek zginął, dostawszy się nieopatrznie w zęby potwora.

Ze skóry hipopotama wyrabiają bicze, szpicruty, tarcze i inne podobne przedmioty. Mięso jego jest jadalne. Język to podobno przysmak nielada!

Odpowiedzi Redakcji.

Pp. **Dawny stary Sąsiad:** Chociaż na anonimy z reguły nie odpowiadamy, dla Starego Sąsiada chcemy zrobić wyjątek tembardziej, że po piśmie poznajemy, kto jest autorem listu. Otóż gorszy się Pan niektóremi wyrażeniami Maćka. Nie zaprzeczamy, że Maciek czasem przepieprzy, ale dziwić mu się nie można, bo to człek prosty i gada co myśli i jak myśli. Gorzej jest, jak nie dobierają wyrażeń ludzie inteligentni, od których można się domagać polotu myśli i słów. Jeżeli człowiek nie uczony wypowiada swe myśli po prostu, jeżeli nazywa rzecz po imieniu, to nie jest jeszcze nieprzyzwoitość, bo nieprzyzwoitością dopiero jest dopatrywanie się w słowach naturalnych jakichś rzeczy ukrytych. Jako przykład przytoczymy tutaj list zacnej zresztą niewiasty, która wyczytawszy w 13 numerze „Roli" zagadkę: „Co to jest za zagadka? Ma to ojciec, ma to matka, z czterech liter jest złożona, ma to mąż, ma to żona. Na „d" małe się zaczyna, ma to chłopiec, ma dziewczyna. Czasem swędzi, ale zrzadka... Przyzwoita to zagadka". Otóż owa niewiasta gromi nas, jak możemy umieszczać tak nieprzyzwoite zagadki. Oczywiście zacna owa Czytelniczka zgorszyła się tem, czego w zagadce owej nie było, bo przecież „dłoń", którą oznaczała owa zagadka, nigdy jeszcze do nieprzyzwoitych części ciała ludzkiego nie należała. I takich przykładów moglibyśmy przytoczyć więcej. Ale nie to nas dziwi, lecz to, że po największej części w teorji za cnotnisiów chcą uchodzić ludzie, którzy dawno w praktyce o cnocie zapomnieli. Znając Pana dobrze, nie wątpimy, że przyzna nam Pan słuszność. — **M. Grądziel** w Z.: Wiersz Pański posiada duże zalety, ale są w nim również i usterki, wskutek których do druku jeszcze się nie nadaje. Może dalsze prace będą lepsze. — **Franciszek Marzec** w T.: Za artykuł i życzenia serdecznie dziękujemy. — **Józef Ząbek** w P.: Szkół rolniczych w Małopolsce jest kilka, n. p. w Dublanach, Czernichowie, Horodence i Jagielnicy. A Pański syn najprędzej mógłby być przyjęty do szkoły w Jagielnicy w powiecie czortkowskim, gdyż tam jest niższa szkoła rolnicza. — **Marja Grzesikówna** w S.: Kilka słów o dobrych i złych żonach zużytkujemy. — **Wojciech Majewski** w K.: Niestety, niema rady na to. Ustawa waloryzacyjna zaprzepaściła wszelkie oszczędności ludzi najpracowitszych. Wina tu posłów, którzy na taką ustawę się zgodzili. Trzeba czekać, może znajdą się jeszcze ludzie, którzy krzywdy o pomstę wołające do nieba zdołają choć w części naprawić. — **Franciszek Chmiel** w P.: Wierszyk dobry; w miarę miejsca umieścimy go. — **Józef Kapuściński** w L.: Za życzenia i słowa uznania serdeczne dzięki. Choć praca nasza rzeczywiście jest trudna, nie zrażamy się przeciwnościami, ale wierzymy we własne siły i nie ustajemy w niej. Coprawda, nieprzyjaciół nie mamy, ale od czasu do czasu trafi się jakiś przeczulony przyjaciel, który nam tę pracę stara się utrudnić, ale i do takich nie mamy żalu, choć wiemy, że nimi kieruje albo zła wola, albo tyle się na redagowaniu takiego pisma, jak „Rola" rozumieją, co kura na pieprzu. Wprawdzie niewielu ich jest, ale są, gdyż na sto listów, 99 dostajemy z uznaniem, a zaledwie jeden z wskazówkami i radami, nie mającemi uzasadnienia. — **Edward Cygan** w B.: O ile wiemy, takiej fabryki w Polsce niema; aparaty te bywają sprowadzane z zagranicy. — **Władysław Maniewski** w D.: Zagadki pójdą w miarę miejsca.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Michał Juroszek z M. K.)

■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Skaza.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Miasto.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Mieszkaniec państ. półn
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Postać z „Quo Vadis".
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Rodzaj broni.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Skorupa orzecha.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Bóstwo wschodnie.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Gwałtowny wiatr.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Prymitywny most.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Nieczęsto.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Inaczej ubiera.
■ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Medal szlachetny.

Litery początkowe, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko jednego z pisarzy polskich, środkowe zaś, czytane z dołu do góry tytuł jednego z jego dzieł.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Jan Twarduś z N.)

Drugie trzecie czwarte płaskorzeźba ziemi,
Najwięcej jej w górach, często taką bywa,
Trzeciego czwartego zwykle się używa
Na okrętach, gdy burza zwłaszcza miota [niemi,
Trzecie, pierwsze to miejsca u wyjścia do [morza
Dniepru, słynne w świecie z dziejów Za[poroża.
Dając pierwsze czwarte Stwórca na pustyni
Okazał swoją dobroć. Pierwsze bez litery
„n" z trzeciem czwartem każdy las uczyni
Prawie nie do przebycia, a jednak w te [sfery
Przedzieramy się chętnie po smaczne jagody.
Przy całości we wolnych godzinach swo[body
Chętnie spędzamy chwile ot, tak dla zabawy,
Rzecz bardzo popularna, zgadnij gdyś cie[kawy.

II.

(Ułożył Jan Patulski z S.)

Pierwszy wnuk mleko a nabiału członek
Odpłatą drugie z początkiem trzeciego,
Trzecie dziewczyna w zimowy dzionek
Całość lub do niej coś podobnego.

3. Zagadka.

(Ułożył Jan Czeluśniak z W.)

Jestem znana miara mała,
Jestem także częścią ciała
I pozdrowień mam bez liku,
Zgadnij teraz czytelniku.

4. Układanki.

I.

TAJEMNICZY BILET.

(Ułożył Jan Czeluśniak z W.)

Kamil Złotnicki Rosja

Odgadnąć czem jest ta osoba.

II. PROGRAM KINEMATOGRAFU.

(Ułożył W. Cliepiela z B.)

Kino Rój. Lwów, Tania 74.
Gra 13.—18. VII.
„Pieśń Kościuszki"
(Stefa Fiesci).

Z powyższych liter i liczb ułożyć dwa imiona i nazwiska polskich patrjotów, miejsce i datę ich śmierci.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 1 maja br.

Znaczenie zagadek z Nru 15 „Roli": 1. Logogryf: Mościcki Prezydent. 2. Szarady: Polityka, kotara. 3. Łamigłówka geograficzna: Wojna europejska. 4. Przestawianka: Natura ciągnie wilka do lasu.

Dobre rozwiązanie zagadek w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Gabrjel Wirstnik z Szcz., A. Jurek z K., Józef Reichert z D., Józef Kapuściński z L., wierszem, Franciszek Łukasik z B., Edward Cygan w B., Władysław Maniewski z D., Jan Borkowski z Z., Feliks Popielarczyk z K., Rudolf Kulla z K. M., Alojzy Rychły z Z., Wincenty Flis i Tadeusz Sroka z L. J., Mrózek z Z., Leon Procner z S., Florjan Ciebiera z Rz., Justyn Klocek z D., Tadeusz Maniewski z D., Józef Gąsior z S., Stanisław Czaja z Szcz., Andrzej Grzegorzek z U., Jan Hurkała w Szcz.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Hurkała w Szcz. i Jan Borkowski w Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu» w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W szkole.

Nauczyciel: — Tu hultajn! mówisz, że Marysia głupia: Powiedz, że żałujesz tego.

Walek: — Okropnie żałuję, że Marysia głupia.

Odwet.

Młoda mężatka nie umie gotować i pierwszą pieczeń, którą podała mężowi, jest twarda, jak podeszwa. Skoro mąż zwrócił jej na to uwagę, młoda kobieta mówi zirytowana:

— Mój drogi, nie zapominaj, że nie ożeniłeś się z kucharką.

W nocy młodą mężatkę budzi jakiś niespodziewany hałas.

— Jasiu — woła pełna trwogi — wstań, zobacz co się dzieje, może to złodziej.

— Wstań sama; nie zapominaj, że nie wyszłaś zamąż za policjanta.

Koń mądrzejszy.

Walek: Antek, powiedz mi, dlaczego koń, kiedy mu powiesz „wiśta“ skręca na lewo, a na „hetta“ na prawo?

Antek: Nie wiem.

Walek: I nie wstyd ci? Nie wiedziałem, żeś taki głupi, to przecież każda szkapa wie...

Osobliwy warjat.

— Widzisz mamo, Ty mówiłaś, ażebym zawsze mówił prawdę, a będzie mi z tem dobrze, a właśnie dlatego dostałem baty od nauczyciela. On położył mi palec swój na książce i zapytał, co to jest. Ja na to odpowiedziałem mu: „brudny palec“ — dostałem klapsa, a palec był naprawdę brudny...

Odwrotna strona medalu.

P. Moryc Sauerkraut gwałtownie telefonuje do Kobierzyna, gdzie jest dom warjatów.

— Jak się nazywa warjat, który wam uciekł wczoraj z zakładu?

— Nikt nam nie uciekł, brzmi odpowiedź.

— Proszę zaraz sprawdzić, bo właśnie dziś w nocy ktoś wykradł mi żonę.

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli“ wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I-szego kwartału za 2 zł. 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie.
Pisz wyraźnie i powoli,
Żeś to czytał w naszej Roli.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli“ poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę“ zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli“ posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.